

tygodnik lubuski nadodrze

ZIELONA GÓRA

16 – 22.I.1990 r.

ROK XXXIV

3 (715)

CENA 200 ZŁ

Być albo nie być

— Nie ma powodu do tak czarnych prognoz. Przy wszystkich zmianach jakie są wprowadzane, Fundusz Rozwoju Kultury pozostał. To pozwala patrzeć w przyszłość z pewnym optymizmem.

STR. 3

Coraz bliżej bramy?

Trudno jest absolwentowi politechniki pogodzić się z myślą, że trzeba będzie roznieść listy. Choć przecież lepsze takie zajęcie, niż rola bezrobotnego.

STR. 5

Apteka miłosierdzia

Trafia się czasem klient, który podnosi głos: jak to, nie ma lekarstwa, które mu przepisał lekarz? Co to za apteka? Nie przemawia tłumaczenie, że wydaje się tutaj lekarstwa takie, jakie się otrzymuje — z łaski, z miłosierdzia, bez zapłaty!

STR. 7-8

Jaka partia jaki socjalizm?

„Idzie o bezpieczeństwo socjalne podstawowych rzesz ludzi pracy, zwłaszcza zaś rencistów i emerytów, których nie można odsłać na socjalne zakupki.

STR. 9-14



Aktorka Teatru im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze SIGRID SIEWIOR, zwana popularnie Samantą, wykonawczyni tytułowej roli w sztuce W. Russella „Edukacja Rity” w reżyserii Zbigniewa Lesienia, granej aktualnie na małej scenie.

STR. 9

Czynić ziemię gościnną STR. 5

Dzieci kosmosu STR. 14

DARY DLA RUMUNII . W pierwszych dniach stycznia opuścił stację w Zielonej Górze wagon z darami dla dotkniętych skutkami powstania Rumunów. Dary te, w większości w postaci odzieży i żywności zbierano od społeczeństw w początkach miesiąca na stacjach kolejowych w Zielonej Górze, Nowej Soli, Zarach, Zaganiu, Tuplicach, Czerwińsku, Zbąszynku, Międzyrzeczu, Rzepinie i Wolsztynie. Odbierali je od ofiarodawców kolejarze z „Solidarności” i związku federacyjnego.

CARITAS. O działalności tego Zrzeszenia Katolików w ubiegłym roku i zamierzeniach na 1990 r. mówiono podczas spotkania wojewody zielonogórskiego Zbyszko Piwońskiego z przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Zrzeszenia ks. Alfonsiem Grzesiakiem.

KLUBY LUDZI BEZDOMNYCH. W Warszawie zarejestrowany został ruch społeczny ludzi nie posiadających własnych mieszkań, który ma ambicję stać się wpływowym lobby i zapowiada bezkompromisową walkę o mieszkania. Kierownikiem ruchu wyrastają — jak formułuje się w jego statucie — „z krzywdy mieszkaniowej młodych Polaków”. Naprawienie tej krzywdy, która narastała od dziesięcioleci, Związek ma zamiar twarde egzekwować od obecnego rządu. Krytycznie ustosunkował się zatem do koncepcji stworzenia w kraju rynku mieszkaniowego, lansując natomiast hasła „Młodych mieszkań dla każdego”. Oczekujemy, że oddziały Związku Bezdomnych powstaną także na śródmiejowym Nadodrzu, albowiem i tutaj potrzebne jest silne mieszkaniowe lobby — lekceważonych jak dotąd petentów spółdzielni mieszkaniowych.

GDZIE WODA CZYSTA I TRAWA ZIELONA, GDZIE? W obu lubuskich województwach coraz mniej czystych jezior i rzek. W ostatnich latach Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Gorzowie zbadał szczegółowo jakość wody w 63 jeziorach. Wyniki okazały się bardzo przygnębiające: tylko w 4 jeziorach woda odpowiadała pierwszej klasie czystości. 35 miało wodę w II klasie, 18 było w klasie III, a w 6 już tylko ścieki. Te naturalnie czyste jeziora to Czarne koło Głuska, Szarec koło Pszczewa oraz Łasko i Goliń. Mały na terenie Pszczewskiego Parku Krajobrazowego. Do najbardziej zatrutych należą m.in. jeziora w Lubniewicach, Drawnie, Dobiegniewie, Myśliborzu. Oczyszczalnie ścieków są tam dopiero budowane, więc każda doba jeziora te przyjmują po kilkaset metrów sześciennych trujących zanieczyszczeń. Ale nawet bardziej odległe od ośrodków miejskich jeziora szybko ulegają zanieczyszczeniu w wyniku intensywnego nawożenia przyległych terenów rolniczych i beztroskiego odprowadzania do nich gnojowicy z pobliskich ferm hodowlanych. Czy proces ten ulegnie kiedyś zahamowaniu?

LUBUSKI KLUB PRZYRODNIKÓW. Stowarzyszenie o tej nazwie

zarejestrowane zostało w Sądzie Wojewódzkim w Zielonej Górze. Klub utworzony w 1983 r. działał dotychczas przy Domu Kultury w Świebodzinie. Obecnie stał się samodzielną organizacją społeczną skupiającą przyrodników w obu lubuskich województwach. Główne cele klubu to: prowadzenie i popieranie prac badawczych i inwentaryzacyjnych zmierzających do lepszego poznania i skuteczniejszej ochrony przyrody regionu, popularyzacja wiedzy i kultury przyrodniczej oraz konkretna działalność na rzecz ochrony przyrody. Już z poprzedniej informacji wynika, że naprawdę jest co robić w tej dziedzinie, a najważniejsze wydaje się organizowanie opinii publicznej, mogącej zapobiegać rozszerzaniu się klęski ekologicznej.

BEZROBOCIE staje się groźbą coraz bardziej odczuwalną. Oto w gorzowskim „Stilonie” zwolniono już 400 pracowników, a jak informuje Wydział Zatrudnienia UW w Gorzowie, w jednostkach gospodarczych podległych wojewodzie, zatrudniających ok. 44 tys. pracowników w I półroczu br. zamierza się zwolnić 1000 osób. Fakty te ujawniają prawdę o naszej gospodarce. Czy w rezultacie tej bolesnej dla wielu operacji będzie ona zdrowsza?

NIEPOTRZEBNI? W połowie ubiegłego roku wojewoda zielonogórski spotkał się z najzdolniejszymi absolwentami średnich szkół zawodowych. Wszyscy dostali dyplomy, książki i zapewnienia, że są niezbędni w regionie. Byliby jeszcze niezbędniejsi, gdyby ukończyli studia i tu powrócili. Sylwetki absolwentów zaprezentowano w w okolicznościowym albumie, który rozesłano do zakładów pracy. Wkrótce jednak okazało się, że cała ta akcja nikogo — z wyjątkiem samych absolwentów i organizatorów akcji — nie interesuje. Np. zamieszkała w Zbąszynku absolwentka tamtejszego Zespołu Szkół Kolejowych ze specjalnością „ruch i przewozy kolejowe” pozostawała bez pracy do października. W końcu dostała pracę w charakterze kasjerki biletowej. W nieco lepszej sytuacji byli absolwenci szkół wyższych, ale ostatnio swego rodzaju sensacją stał się bezrobotny z wyższym wykształceniem, który ubiegał się o zasiłek — w Ślubicach. I dziwić się frustracji młodych? Chyba, że nadejdą czasy, w których wiedza i kwalifikacje zaczną się cenić.

„KTÓRYCH PAMIĘTAMY” — to tytuł najnowszej książki wydanej staraniem Gorzowskiego Towarzystwa Kultury w ramach Biblioteki Literackiej. Książka zawiera dwadzieścia szkiców o ludziach zasłużonych dla Gorzowa, szczególnie dla jego kultury. Autorami poszczególnych szkiców są dziennikarze, nauczyciele, ludzie kultury. Książka jest bogato ilustrowana, okładkę projektowała Magdalena Cwiertnia.

NOWE WŁADZE GTF. Niedawno w rezultacie zebrania sprawozdawczo-wyborczego w Gorzowie

Działo się obok nas

Niedawno na tych łamach pisaliśmy o narkomanach w Nowej Soli. W połowie listopada ubr. w tym mieście na ul. Kopernika młody mężczyzna wyrwał kobiecie torbę z zakupami i gotówką. Napastnikiem okazał się Artur K. 23-letni mieszkaniec Nowej Soli, z zawodu stolarz, ostatnio zatrudniony w „Dozamecie”. W zeznaniach złożonych prokuratorowi powiedział, że pieniądze były mu potrzebne na zakup narkotyków. Ustalono, że Artur K. nie jest debiutantem w naruszaniu prawa: trudnił się nielegalnym, rzecz jasna, wyrobem środków odurzających, kradzieżą słomy makowej, nie obce mu też są włamania do samochodów. Aktualnie odpoczywa w areszcie tymczasowym oczekując na rozprawę.

— ☆ —

Inny Artur, K. uczeń III klasy Szkoły Cechu Rzemiosł Różnych, na przystanku PKS w Łazowie koło Zar, bez żadnego powodu wyrwana z plotu sztachetą uderzył w głowę motocyklistę, który prosił go o wskazanie adresu kolegi. Powalonego jeszcze kopnął. Uderzenie sztachetą było tak mocne, że kask motocyklisty został całkowicie zniszczony. Ten wyczyn będzie młodego chuligana z pewnością nieco kosztował. Zdecyduje już o tym Sąd Rejonowy w Zarach.

— ☆ —

W centrum Trzebiela w pewne listopadowe południe funkcjonariusz MO usiłował zatrzymać pijanego kierowcę, któremu marzyła się „kawalerska jazda”. Pijanemu kierowcy, a nie jakby na to wskazywała sytuacja milicjantowi, przyspieszyli z pomocą dwaj inni, także pijani, mężczyźni, i też pijana, agresywna kobieta. Szamotanina trwała prawie godzinę. Wychodzący w tym czasie z kościoła a także z pobliskiej restauracji nie reagowali. Funkcjonariuszowi MO pomogli dopiero jego koledzy — milicjanci powracający ze służby. Pijany kierowca został zatrzymany.

— ☆ —

Waldemar K. b. pracownik kop. „Ziemowit”, karany i młodszy od niego o rok, 19-letni Zenon K. też karany, z zawodu mechanik samochodowy, wyspecjalizowali się w kradzieży kół samochodowych. Tylko w jednym miesiącu w Zielonej Górze włamali się do 22 samochodów kradnąc koła i kanistry z benzyną. Łączna wartość tego miesięcznego „urobku” wyniosła prawie 5 milionów zł. Odbiorcą skradzionych kół był Marek Ł. właściciel prywatnego, obwoźnego zakładu gastronomicznego, który kupując taniej, sprzedając drożej dodatkowo powiększał swoje dochody. Sprawa, jak to się zwykle mawia w kręgach prokuratorskich, ma charakter rozwojowy. Cała trójka oczekuje na rozprawę.

Również Jacek K. z Gubina zdobywał i jak rękawiczki porzucał po iluś tam przejechanych kilometrach samochody, z których przy okazji kradł, co się dało. Ponadto włamywał się do samochodów, głównie „Fiat 126p”. Też czeka na rozprawę.

— ☆ —

Dramatyczną „przygodę” przeżyła Michalina K. z Gubina, która po wypiciu niewielkiej ilości alkoholu, pewnego październikowego wieczoru samotnie wracała do domu. Wtedy pewien nieznajomy, podpiity, zaproponował, że ją doprowadzi pod jej dom. W drodze przysiedli, bo okazało się, że mężczyzna ma przy sobie butelkę wina. Popijając, gawędząc, w pewnej chwili już dobrze znajomy nieznajomy zaproponował Michalinie K. odbycie intymnego stosunku. Kiedy ta zdecydowanie odmówiła, pobił ją. „Zalotnikiem” okazał się Miroslaw P. który po wytrzeźwieniu chciał dać Michalinie K. sto tysięcy zł, aby tylko nie zgłaszała niczego komu trzeba. Honor znów wziął górę u kobiety i niedoszły gwałcieł rozmyśla teraz w areszcie tymczasowym. O tym, co go czeka, zadecyduje sąd.

(Na podstawie Serwisu Informacyjnego Prokuratury Wojewódzkiej w Zielonej Górze).

skim Towarzystwie Fotograficznym wybrano nowe władze. Prezesem został ponownie Marian Łazarski.

SPECJALISTYCZNE KLUBY W BIBLIOTECIE. Przy Filii Zbiorów Specjalnych WBP w Gorzowie roz-

poczęło działalność Koło Miłośników Biblioteki. Składa się z trzech klubów: klubu płyt compactowych, klubu video i klubu płyt analogowych i kaset. Prezesem Koła jest Włodzimierz Napiórkowski.

● Słychać głosy, że teatr w Zielonej Górze ma zostać zlikwidowany, a budynek wynajmowany będzie teatrom przyjeźdnym. W związku z tym wśród aktorów panują nienajlepsze nastroje.

— Nie ma mowy o likwidacji! Co prawda w tej chwili nie wiem, czym będziemy gospodarować gdyż uchwała sejmowa o budżecie jeszcze nie zapadła. Za parę dni wybieram się na spotkanie wojewodów do Warszawy, poświęcone zagadnieniom finansowym. Spodziewam się jakichś konkretniejszych informacji, również co do środków na kulturę.

● Podobne nastroje panują w filharmonii. Nie jest łatwo o pracę w niepewności o dzień jutrzejszy.

— Ale kto mówi o zamykaniu filharmonii? Nie ma powodu do tak czarnych prognoz. Przy wszechstronnych zmianach, jakie są wprowadzane, Fundusz Rozwoju Kultury pozostał. Z tych 15 procent od funduszu plac w instytucjach państwowych, powstaje suma, która rośnie w miarę, jak rosną placie. To pozwala patrzeć w przyszłość z pewnym optymizmem. Sądzę, że będziemy mogli dokończyć zarówno teatr, jak i filharmonię.

● W grudniu aktorzy mieli wstrzymane gaże, dlaczego? Spowodowało to różne domysły.

— Przyczyna była prosta: za brak pieniędzy na płace, ponieważ bank nie otrzymał w terminie przelewu z Warszawy. Doдам, że środki Funduszu Rozwoju Kultury tworzą się na szczeblu centralnym — i następnie są nam przekazywane.

● Pani minister kultury powie działa, że tylko wybrane teatry będą dotowane.

— Miała na myśli teatry, które będą utrzymywane przez szczebel centralny, czyli ministerstwo. Pozostałe teatry też mogą być dotowane — na szczeblu terytorialnym — wojewódzkim, miejskim. I tu, na miejscu, będzie się o tym decydować.

● Właśnie tych decyzji aktorzy się obawiają. Są zdania, że teatr nie cieszy się życzliwością Urzędu Wojewódzkiego, co — jak mówią — widać nawet na premierach.

— Chcę panią zapewnić, aktorów, muzyków oraz publiczność, że zrobię wszystko, by, pomimo trudnych czasów jakie nastały, teatr i filharmonia mogli funkcjonować normalnie. Może tylko trochę taniej, w mniejszej obsadzie? Wszystkie instytucje, nie tylko artystyczne, muszą teraz oszczędzać i „dorabiać”. Tak, przynajmniej. Dawno nie byłem w teatrze. Ale wyłącznie z powodu braku czasu.

● Cieszą mnie Pańskie zapewnienia, Panie Wojewodo. Chcę dodać, że uczynienie teatru jedynej sceną do wynajęcia, byłoby cofnięciem się pół wieku wstecz.

— Jestem tego samego zdania. Nie sądzę też, aby teatry, nawet renomowane, stać było teraz na podróżowanie po kraju. Przy obecnych kosztach transportu, cena biletu byłaby prawdopodobnie nie do przyjęcia.

● W sposób horrendalny rasnąć czynsze i opłaty za światło. Czy w związku z tym nie są zagrożone muzea i biblioteki? Te ostatnie w dodatku zaczęły prawdopodobnie mieć problemy z zakupem drogiej książki.

— Nie dopuszczam myśli o jakimkolwiek zagrożeniu. Za muzeami i bibliotekami stać musi państwo i władze samorządu terytorialnego.

● W złej sytuacji finansowej znalazły się Lubuskie Towarzystwa — Kultury, Naukowe, Muzyczne. Każde z nich prowadziło dotychczas własną działalność upowszechnieniową, artystyczną, wydawniczą. Jak Pan widzi przyszłość tych Towarzystw, a zarazem przyszłość ruchu regionalnego, utrzymującego się poprzednio głównie z dotacji?

— Dotacji już nie będzie. Towarzystwa te muszą zabiegać o pozyskanie nowych sponsorów. Mogą też otrzymywać środki na zadania zlecone. O wysokości tych środków nie mogę powiedzieć nic pewnego, do czasu uchwalenia przez Sejm budżetu państwa.

● Jak sobie radzą kina?

— Złe. W swym klasycznym wymiarze jak gdyby przestały być potrzebne. W małych ośrodkach kino tradycyjne od dawna już nie zarabia na siebie. Szeroki ekran wypierany jest przez video. Kina przeżywają regres i gwałtownie poszukują nowych form istnienia.

● Zamykane są kluby wiejskie i mieszkańcy martwią się, co z zamian?

— Moim zdaniem instytucja klubu „Ruch” przeżywa się. Teraz wsi potrzebne są bardziej uniwersalne placówki. W ub. roku uczestniczyłem w otwarciu domu ludowego w Chociemnie, zbudowane go w czynnie społecznym przez

rytorialnym będziemy mówić później.

● Jak pracuje się Panu z nowym rządem?

— Pod względem prawnym funkcja wojewody nie zmieniła się, choć pewne zmiany są w projekcie. Natomiast w pracy odczuwamy wielką różnicę — ja i moi współpracownicy. Mniej korespondencji. Mniej drobiazgowości. Więcej samodzielności i swobody. Coraz wyraźniej rysuje się podział między — nazwałbym to „państwowością”, a „terytorialnością”. Wykształca się powoli nowy model pracy wojewody, urzędu wojewódzkiego i samorządu, oraz nowy model stosunków z jednostkami nadrzędnymi w ministerstwach. Zmienia się też rodzaj owych „nadrzędności”. Ostatecznie zmieni się po wyborach.

● W jakiej kondycji gospodarujemy, jako województwo? Pytam, bo przy lepszym stanie gospodarki, większe szanse ma kultura.

— Biorąc pod uwagę kondycję podporządkowanych nam przedsiębiorstw państwowych, a mamy ich w województwie prawie sto, nie sądzę, by któreś bliskie było bankructwa. Przewiduję natomiast wiele istotnych przeobrażeń strukturalnych i własnościowych. Rozpoczął się proces „odchudzenia” tych przedsiębiorstw. Towarzyszy temu całkiem nowe zjawisko: ludzie poszukują pracy. Spowoduje ono, że praca będzie bardziej szanowana.

● W poprzednim okresie kadra kierownicza pochodziła z przysiółk wioch. Jak jest teraz? Jak sprawdzają się nowi ludzie na kierowniczych stanowiskach, w kulturze i nie tylko?

— Za najważniejszą drogę przy poszukiwaniu tzw. kadry kierowniczej uważam konkursy. Czy sprawdzają się ci z konkursów? Pokażę czas.

● Województwo zielonogórskie aspirowało do najlepszych w kraju pod względem aktywności w kulturze, ruchu społeczno-kulturalnym, także w oświacie wyższej. Toteż wiele osób wspomina z żalem „dobre lata 60-te i 70-te”.

— Przyszedł czas na trzeźwą ocenę: z jednej strony aspiracji i ambicji, z drugiej rzeczywistych wartości i potrzeb.

● Oraz możliwości finansowych. Jaki więc będzie ten rok w zielonogórskiej kulturze?

— Starajmy się, by był nie najgorszy, pomimo tych wszystkich koniecznych przeciwności, cięć i oszczędności. Pieniądzy będzie mniej. Ale wierzę, że zdołamy utrzymać większość spośród tego, co dotąd posiadamy.

● Oby tak się stało. Bo również sytuacja finansowa mojego pisma przedstawia się dramatycznie. Nagle skoczyła wwyż cena papieru i nasz wydawca — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe jest w prawdziwym kłopotcie. Likwidacja „Nadorza” byłaby taką samą stratą, jak likwidacja teatru czy filharmonii. Mówię o tym nie dlatego, że w „Nadorzu” pracuję. Czy możemy liczyć na Pańską pomoc?

— Tak. Nie wdając się w szczegóły, obiecuję to. Jednocześnie życzę redakcji „Nadorza”, by przetrzymała ten trudny okres, nadążając za potrzebami środowiska, oraz, by utrzymywała, a nawet powiększała grono swych czytelników.

● Dziękuję, w nadziei, że nie była to nasza ostatnia rozmowa na tych łamach.

BYĆ ALBO NIE BYĆ

O sytuacji w kulturze

Z wojewodą zielonogórskim
mgr ZBYSZKO PIWOŃSKIM
rozmawia Halina Ańska

● Tymczasem już słychać o kłopotach ognisk artystycznych. Nie każde dziecko ma bogatych rodziców, których stać na wysokie opłaty za naukę muzyki. A może właśnie wśród tych najbiedniejszych trafi się wielki talent?

— Tak. O szkolnictwo artystyczne obawiam się najbardziej. Trzeba będzie je, w niektórych przypadkach, zreorganizować. Może ogniska mniejsze zamienić w sekcje muzyczne i przenieść do domów kultury? Właśnie myślimy, co zrobić, żeby większość z nich uratować.

● Festiwale: piosenki radzieckiej i folkloru w Zielonej Górze oraz filmowy w Łagowie. Co z nimi?

— Festiwal folklorystyczny jako stosunkowo tani, może być, tak jak dotychczas, organizowany co dwa lata. Być może nie za ginie też Lubuskie Lato Filmowe, w nowym kształcie, z udziałem dyskusyjnych klubów. Są propozycje, by festiwal piosenki radzieckiej, w sposób istotnie przeobrażony, organizować raz na dwa lata.

● Oby starczyło także na remonty zabytków.

— W tej trudnej finansowej sytuacji, przed zabytkami jawi się lepsza przyszłość, niż dawniej. Sporo osób prywatnych zgłasza chęć zakupu zabytkowych budynków, by po wyremontowaniu prowadzić w nich działalność użytkową.

● Które obiekty wchodzi w grę?

— Pałac w Brodach już przeszedł w ręce p. Kowalskiego — Polaka z RPA, który zamierza uruchomić tu hotel i stajnię wierzchowców, oraz zakład przetwórczy. Są obiekty, o które ubiega się równocześnie po kilku przyszłych użytkowników. Na razie wolałbym nie wyjawiać, które to obiekty. W każdym razie odbudowa zabytków przez państwo i

mieszkańców. Duża sala, kilka mniejszych pomieszczeń, kuchnia z bieżącą wodą, boisko sportowe, szatnia. Można tu urządzić przedstawienie, zebranie, wesele i mecz.

● Niedawno w radiu mówiono o planowanym podziale administracyjnym kraju, m.in. że województwo zielonogórskie wraz z jeleniogórskim i legnickim, tworzyć będą jeden wspólny obszar, z centralą w Głogowie. Co pan na to?



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

— Uśmiecham się w tym momencie z powodu osobistych sympatii do Głogowa, gdzie przed laty mieszkałem i pracowałem. Oczywiście, nowy podział terytorialny jest nieuchronny. Będzie to operacja kosztowna, więc chyba nie nastąpi natychmiast. Ale czy my zostaniemy usytuowani akurat tak? Jedno pewne. Podzielenie kraju na małe województwa, bez powiatów, okazało się niekorzystne. Wkrótce zarysuje się nowe funkcje administracji państwowej. Przygotowuję się do nich. A o nowym podziale te

POSTAWY

Wywoływanie ducha

Zasnąłem jako obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Obudziłem się jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej. Orzeł od zyskał koronę spoczywającą u stóp ludu od 1944 roku. Imieniny Mieczysława powitałem również mniej optymistycznie. Okazało się, że szybciej od piór orla rosła cena. Bochenek chleba zaczął kosztować 2500 złotych. Ceny innych dóbr również odpowiednio wzrosły, a jeśli tego jeszcze nie uczyniły, to uczynią. Należy wierzyć na szym ministrom i ekonomistom.

Senat i Sejm przestrajając IV Rzeczypospolitą w stare-nowe symbole, wziął pod uwagę trudną sytuację kraju. W żaden sposób nie stać nas na jednorazową operację. Suma orłów bez korony jest bowiem u nas ogromna, koron nawet czeskich, nie mówiąc o szwedzkich, małutko. Sejm i Senat rozłożyli operację koronowania orla na lat parę z przyczyn ściśle ekonomicznych.

Zniecierpliwiony ksiądz Jankowski z parafii św. Brygidy dla przyspieszenia procesu koronacyjnego, założył w Gdańsku fundację „Orla Białego”. Celem tej instytucji jest zbieranie pieniędzy. Inicjatywa księdza patrioty z jednej strony znalazła się w sytuacji delikatnej, bo konfrontacyjnej z innymi fundacjami, również zbierającymi pieniądze na równie zbożne i użyteczne cele. Pieniądze można i trzeba li-

czyć. Z drugiej jednak strony ksiądz Jankowski znalazł się w sytuacji korzystnej. Wsparł bowiem mocno część oficjalnego establishmentu, częścią którego jest przecież Stronnictwo Demokratyczne. Od dłuższego już czasu Stronnicwo to w sensie teoretycznym, ale i praktycznym silnie optowało za uczczeniem naszych czasów właściwą symboliką, historyczną sprawiedliwością, likwidacją białych plam i prawdziwą demokracją. Baza społeczna Stronnictwa Demokratycznego, a jest nią rzemiosło, przyjmuje gdańską fundację z wyraznym entuzjazmem. Szybki proces koronowania orla uzależniony jest bowiem od rzemiosła, w szczególności zaś od pieczętkarzy, poligrafów, złotników, grawerów, blacharzy, kowali, kamieniarzy, medalierów, hafciarek, a zwłaszcza od gipsowników. Ksiądz Jankowski poprzez działalność fundacji „Orla Białego” być może zwiększy swoje wpływy w Stronnicwie Demokratycznym, ale samo stronnictwo, spełniwszy część postulatów swego elektoratu, wywalczywszy słuszne symbole, będzie w trudnym położeniu programowym. To prawda, że walka o demokrację jest zajęciem na wieczność, tylko co pozostaje oprócz niej? Ożywienie Becka, Rydza, ba! nawet Wieniawy i Kasprzyckiego, nie mówiąc o innych demokracjach, prawdopodobnie nie wydaje

się być możliwe do osiągnięcia przez głosowanie w parlamencie. Zresztą wskrzeszenie zmarłych jest monopolem całkiem innej siły, zastrzeżoną działką, na której nie znosi się kłusowników.

Kiedy myślę o imieninach Mieczysława w 1990 roku, przemienieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Rzeczypospolitą Polską wydaje mi się, że również inna część elity rządzącej krajem, mianowicie Polskie Stronnictwo Ludowe „Odrodzenie”, a wraz z nim nasz poseł Zych, głosując za tymi fundamentalnymi zmianami, odczuwają pewien niesmak. Bo nieorientowany w sojuszach protestaczkach zadać może głupie pytanie: cóż to za ludowe stronnictwo, głosujące przeciw przymiotnikowi „Ludowa” w nazwie państwa, którym współrządzi? Jakiej proweniencji jest ludowość w nazwie Stronnictwa? Są również inne, powiedziałbym głębszej natury, pytania. Oto na przykład, Polskie Stronnictwo Ludowe „Odrodzenie”, za jednego z kilku, ale ważnego, przyjmuje patronat ideologiczny Wincentego Witosa, wybitnego działacza chłopskiego, polityka, przedwojennego premiera i... emigranta politycznego w II Rzeczypospolitej, wiceprzewodniczącego Krajowej Rady Narodowej po wojnie. Nicia przewodnia, hasłem sztandarowym przewijają

cym się przez wszystkie pisma, referaty i wypowiedzi Wincentego Witosa jest właśnie Polska Ludowa, jako cel dążeń mas chłopskich, z których interesem się utożsamiał ten wybitny Polak. Czyżby głosowanie przeciw nazwie Polska Rzeczypospolita Ludowa dla posłów z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Odrodzenie” było sobowodem odcięciem się od kłopotliwego patrona ideologicznego?

W związku z zaszłymi zmianami, jak się wydaje, w najbliższej przyszłości sytuacji są konsulaty i ambasady. Szłyby dla naszych placówek dyplomatycznych można wykonać siłami krajowymi, bo jest ich niedużo, i przesłać je pocztą. Nie do wszystkich placówek. Jestem przekonany głęboko, że w piwnicach naszych placówek w Madrycie, Lizbonie, Londynie, Watykanie zachowały się stare szyldy z właściwą nazwą i emblematem. Wystarczy je odkurzyć i zamontować. Zrobi to rzemieślnik na ambasadzkim etacie konserwatora. Mój domysł idzie dalej. Wydaje się, że w piwnicach naszych placówek, gdzieś w Ameryce Południowej, Azji, też się szyldy za chowały, przez dygnitarские maniery lub lenistwo ich szefów.

Niestety. My nie jesteśmy w tak wygodnej sytuacji. W lokalu naszej firmy, nad restauracją „Ratuszowa” w Zielonej Górze, jest orzeł bez korony. Nie mogąc w żaden sposób liczyć na wsparcie fundacji „Orla Białego”, z bolesną myślą o braku jakiegokolwiek pieniędzy na ugarniowanie łysiny naszego orla. I boleść moja będzie z tego powodu coraz większa.

RYSZARD ROWIŃSKI

TELEMORELE

Telewizyjne Wiadomości przekazały ciekawą informację z NRD. Tamtejsze ludowe siły zbrojne zrezygnowały z formy „towarzysz” na rzecz „pan”. Zmiana ta oznacza zmianę stosunków na linii żołnierz — oficer. Teraz, zanim padną typowe dla koszar określenia, musi być zastosowana reguła wzajemnej uprzejmości. Kapral, ganiając bractwo po poligonowym błocie, będzie swe rozkazy ozdabiał wyszukany Herr. Tłumacząc na nasze usłyszmy: — Panie Knapp, czołgaj się dokładnie, bo tak ci przywalę, że narobisz w gacie.

Oczywiście, nigdy nie byłem w niemieckiej armii. Ani w tej wrogiej, ani w tej zaprzyjaźnionej. Nad kobietami mam jednak sporą przewagę — służyłem w polskiej armii. Siły zbrojne wszędzie zaś są takie same. Bez względu na rodzaj umundurowania lub poziom techniki bojowej, wytwarzają ten sam, dosyć specyficzny, typ stosunków międzyludzkich.

Dlatego też z wielkim prawdopodobieństwem mogę przewidzieć zestaw soczystych określeń, serwowanych rekrutom w języku niemieckim. Podobne w tonie i w treści słyszeliśmy nowi poborowi, tuż po przekroczeniu bram koszar i obcięciu włosów.

Co tu dużo mówić. Wojsko nigdy nie było i nie będzie miejscem dla pensjonarek. Stłó

Pan czy obywatel?

czczenia na malej przestrzeni dużej ilości mężczyzn zawsze kończy się tym samym: wulgaryzacją słów, brutalizacją wzajemnych stosunków. Typowa dla wojska dyscyplina, czyli podporządkowanie indywidualności woli jeźdźcy, tylko potęguje ten specyficzny stan życia na niby.

Surowy regulamin z jednej strony oraz brak oparcia moralnego w dotychczasowym środowisku rodzinnym z drugiej, wywołują efekt próżni społecznej.

Młody człowiek, na dwa lata wyrwany ze swego naturalnego środowiska, dziwnie szybko zapomina o cywilizowanych regułach postępowania. Życie nie znosi jednak próżni. Nic więc dziwnego, że większość przystosowuje się do kanonów obyczajowych, wypracowanych przez poprzedników.

To właśnie w tym mechanizmie należy upatrywać źródeł, tak szokujących dla cywilów, zwyczajów obcinania ogona, płonących rowerów (delikwentowi podczas snu wsuwają się małe kawałki papieru między palce stóp i podpala), czyszczenia podłóg szczoteczkami do zębów lub wielogodzinne siedzenie na nodze odwróconego taboretu.

To tylko drobny przykład koszarowych „zabaw”, najczęściej potulnie znoszonych przez żołnierzy pierwszego rocznika. Potem oni bio

rają się za koty, biorąc odwet za własne poniżenie.

Kadra zawodowa od lat tępi takie zwyczaje, ale jest bezsilna. Wojsko jest solidarne, pokrzywdzeni nie chcą puścić pary z ust. Oczywiście, milczą w koszarach. Po przyjeździe do domów długo i barwnie opowiadają o wszystkim. Kadra postępuje odwrotnie. Na zewnątrz zazdrośnie pilnuje obrazu armii jako siły sprawnej nie tylko bojowo, ale także czysto moralnie.

Uczciwie muszę przyznać, że identyczną postawę przyjęły środki masowego przekazu. Dziennikarze, jeśli już pisali o wojsku, to tylko w samych superlatywach. Już wiele lat temu wytworzył się pewien schemat: wojsko ćwiczy w pocie czoła i buduje pomysłowość. Ojczyznę. Rzecz jasna w czynię społeczną. Ta sztuczna maniera doprowadziła do takich absurdów, że nawet fotoreporterom nie wolno było publikować zdjęć, pokazujących zmęczone twarze żołnierzy, pokonujących poligonowe przeszkody.

Propagandyści żądali tylko jednego — prasowy lub telewizyjny wizerunek wojska musi przypominać Cepelię.

Kilka tygodni temu uczestniczyłem w ciekawej dyskusji, zainicjowanej przez kadrę dowódczą Saskiej Dywizji Pancernej. Ludzie ci zaskoczyli mnie swoją otwartością oraz zdolnością do krytycznego myślenia. Okazało się przy tym, że im samym bardzo ciążył ten wypolerowany, wręcz mityczny, obraz wojska. Jesteśmy ludźmi z krwi i kości — twierdzili — i dlatego czas już najwyższy, aby o problemach armii mówić poważnie, a nie na kłęczkach.

PIOTR MAKSYM CZAK



Coraz bliżej bramy?

Na łamach „Gazety Lubuskiej” nie ukazują się już ogłoszenia zaczynające się od słów: zakład pracy zatrudni... Jeszcze na początku grudnia zajmowały one sporo miejsca na kolumnie ogłoszeniowej. Teraz zastąpiły je inne, zamieszczane indywidualnie np. inżynier budowlany podejmuje pracę... Zakłady przestają szukać pracowników. Role zupełnie się odwróciły.

W pierwszych dniach stycznia zakłady zaczęły wycofywać swoje oferty, w niektórych wypadkach zgłoszone jeszcze pod koniec grudnia. Brakujące osoby na stanowiskach roboczych zajmą tzw. pracownicy umysłowi. Ten przykład wzięty jest z Zakładów Mięsnych w Przylepie. Inne przedsiębiorstwa postępują podobnie. Panie pracujące w księgowości w dużych firmach zastanawiają się co robić — ich miejsca zajął komputer.

Do wydziałów zatrudniania zgłaszają się osoby będące na trzymiesięcznym wypowiedzeniu. Pytają o pracę w swoim zawodzie: technik budowlany, kreslarz, inżynier. Nie ma? Przyjdą za tydzień. Nie odpowiada im stanowisko telefonistki na poczcie lub doręczyciela. Kierowniczka Wydziału Zatrudnienia w Zielonej Górze — Teresa Olewska przekonywała, że jest to dobra posada, państwowa. Za kilka dni może być już nieaktualna. Trudno jednak absolwentowi politechniki pogodzić się z myślą, że trzeba będzie roznościć listy. Choć przecież lepsze takie zajęcie, niż rola bezrobotnego.

W małych miastach województwa gorzowskiego sytuacja jest podobna. W Słubicach odnotowano już pierwszych bezrobotnych. Trzy osoby otrzymają zasiłek. Nie chcą podjąć pracy w nie swoim zawodzie. Inżynier instalacji sanitarnych, z ciepłym jeszcze dyplomem ukończenia uczelni dostanie 38 tys. zł i 39.200 zł osłonowego. Po ukończeniu studiów nie zdążył podjąć pracy. Nie może więc otrzymać zasiłku w wysokości 70 proc. ostatniej pensji. Ta dziwna dziś liczba — 38 tys. jest według dziennika rządowego (ostatniego) najniższą pensją w Polsce.

Do naczelnika Miasta i Gminy Słubice przychodzi młodzież, którzy „na czarno” pracowali we Frankfurcie nad Odrą. Proszą o pomoc. Ich pracodawca wymówił pracę. Naczelnik bezradnie rozłożył ręce. Taki sam gest uczynił, gdy zjawił się u niego przedstawiciel dyrekcji dużych zakładów we Frankfurcie prosząc również o pomoc. W NRD nie ma rąk do pracy. Polacy, mimo ostatnich konfliktów, chętnie tam się zatrudniają. Naczelnik tłumaczy dziennikarzowi, że nic nie może zrobić. Obowiązują go międzynarodowe umowy, których zawieranie nie należy do niego. Na ich podstawie 850 osób z woj. gorzowskiego zatrudnionych jest w NRD. Pod koniec ubiegłego roku podjęto próbę negocjacji. Niestety, polska delegacja wróciła z NRD z pustymi rękoma. Nie udało się nawet uzyskać wyjaśnień brutalnego traktowania naszych rodaków pracujących za Odrą przez obywateli niemieckich. Sytuacja jest niezręczna. U nas pojawia się bezrobocie, w NRD brak ludzi do pracy. Oba kraje dzieli tylko rzeka (?) i nie można się porozumieć.

W mieście i gminie Rzepin mieszka około 9800 osób. Nie ma tu wydziału zatrudnienia. Funkcjonuje za to dobrze poczta pantoflowa. Naczelnik nie martwi się o brak miejsc pracy. 60 zakładów daje na razie wszystkim zatrudnienie. Jeśli niektóre splajtują, lub ograniczą miejsca pracy, to też nie ma strachu. Rzepin leży w strefie przygranicznej. Jest węzłem kolejowym i drogowym. Wzdłuż drogi E-2 gmina sprzedawała lub wydzierżawiła wszystkie tereny. Powstanie tu cały szereg moteli. Do tej pory trasa ta jest pustynią hotelową. Ponadto w Rzepinie już wkrótce powstaną nowe zakłady usługowe. Wszędzie tam potrzeba będzie rąk do pracy.

Wydziały zatrudnienia nie spełniają oczekiwań. Są bezwładne. Przydałaby się giełda czy nawet prywatne biuro pośrednictwa pracy.

KATARZYNA HALICKA

Czynić ziemię gościnną

KS. CZESŁAW KROCZAK — DUSZPASTERZ AKADEMICKI I DIAKON ADAM TABŁOWSKI O EUROPEJSKIM ZŁOCIE MŁODYCH CHRZEŚCJAN

W dniach od 28 grudnia 1989 r. do 2 stycznia 1990 r. odbywał się we Wrocławiu zlot młodych chrześcijan, z udziałem ponad 50 tysięcy osób z czterdziestu krajów. Nie zabrakło młodzieży z Zielonej Góry. Pielgrzymka zorganizowana przez parafię Najświętszego Zbawiciela pojechała pociągiem, pod opieką ks. Czesława Krocza, któremu towarzyszył diakon z Gorzowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gościkowie-Paradyżu, Adam Tabłowski. Pytamy teraz o wrażenia.

KS. CZESŁAW: — Było to spotkanie ogromne i wzruszające. Wspaniałe zorganizowane! Wszystko przygotowane nadzwyczaj starannie — noclegi, wyżywienie, miejsca zgromadzeń. Byli tłumacze. Dzie wczęta i chłopcy wyznający różne religie i mówiący różnymi językami, modlili się wspólnie. Bo wyznań jest wiele, ale Bóg tylko jeden. Prośby, pieśni, kanony rozbrzmiewały w kościołach oraz wszystkich dużych salach w mieście. W halli sportowej modliło się równocześnie kilkanaście tysięcy ludzi. Nasza grupa nocowała w Oleśnicy, w prywatnych domach. Fakt, że młodzi byli gośćmi rodzin, przydawał spotkaniom ciepła i serdeczności.

DIAK. ADAM: — „Wy, którzy tu wchodzić, pó jednajcie się” — Taka myśl widnieje u wejścia do siedziby wspólnoty zakonnej w Talze, we Francji. Wspólnotę założył brat Roger. Tam właśnie zrodził się pomysł takich międzynarodowych zlotów. Podobne spotkania jak we Wrocławiu, miały miejsce wcześniej w Rzymie, Londynie, Paryżu oraz, w kwietniu ub. r. w Peczku na Węgrzech.

KS. CZESŁAW: — Idea spotkań młodych chrześcijan mówi o poszukiwaniu „źródeł zaufania”. Takim źródłem jest Chrystus i Jego nauka. Zaufanie jest podstawą przyjaźni i solidarności. Przypomnę cytata z „Listu z Talze”, napisanego przez brata Rogera: „Pragnienie przeżywania ludzkiej solidarności, aby czynić ziemię gościnną, jest z nami autentyzm, a autentyzm jest dzisiaj jedną z wyższych aspiracji wielu młodych”. Nie byłam na zlocie do końca, gdyż obowiązki kazaly mi wrócić do parafii. Oglądając transmisję z Wrocławia — myślałem, że wielkość i liczebność tego spotkania potwierdza słowa brata Rogera o „pragnieniu solidarności”. Młodzi chcą podawać sobie ręce po nad granicami państw, bez uprzedzeń, w przebaczeniu i pojednaniu. Podczas ostatniej wieczery Chrystus powiedział do apostołów: „Abście byli jedno...” Także i tę myśl dało się odczytać w tym międzynarodowym sacrum.

DIAK. ADAM: — Były przedstawiane „świadczenia” w grupach: młodzi ludzie opowiadali, jak wyznają Chrystusa i jak z Niego czerpią dla dobra innych. Np. jeden chłopak z Poznańskiego mówił, co robił dobrego w swojej wsi. Pewna dziewczyna zwierzała się, jak ofiarne działała w ruchu „muminków”. Spotkania miały tematy, np.: „Przebaczenie Boże, które jest naszym wyzwoleniem”, „Dzielić się, dostrzegać najbardziej opuszczonych”, „Jak być twórcą zaufania i pojednania” i inne.

KS. CZESŁAW: — Brat Roger napisał w swym liście: „To nie od tych, którzy zajmują pierwsze miejsca zależą przemiany świata!”. I podał przykład Matki Bożej, która, będąc skromną i pokorną, czyż mogła przypuszczać, że Jej życie będzie w przyszłości miało tak wielkie znaczenie dla świata? Praktycznie każdy człowiek ma dane, by przemieniać skostniałe sytuacje, jeśli tylko pozbedzi się nieufności i podejrzliwości.

DIAK. ADAM: — Niesłychana życzliwość mieszkańców Wrocławia! Doświadczaliśmy jej na każdym kroku. Przechodnie uśmiechali się do młodzi, zagadywali, chcieli częstować. Pytali, czy ktoś czegoś nie potrzebuje. W wieczór sylwestrowy jechaliśmy tramwajem duża grupa. Panował cudowny nastrój. Przed północą byli modlitwy i czuwanie, potem msza święta. Po mszy wszyscy wybiegli na ulice, tańczyli i śpiewali piosenki w różnych językach. Słyszałem potem, jak mówiono, że ten zlot techną w miasto ożywczego ducha.

KS. CZESŁAW: — Ojciec Święty przysłał dwa telegramy. Nadeszły również telegramy od sekretarza generalnego ONZ de Cuellara, prezydenta Czechosłowacji Havela i naszego premiera Mazowieckiego, który później przyjął brata Rogera w Warszawie.

DIAK. ADAM: — W pierwszy dzień Nowego Roku mszę św. w Halli Ludowej, głównie dla młodzieży polskiej, koncelebrował kardynał Gulbino-wicz. Wystąpił brat Marek z Talze, z wezwaniem, aby uczestnicy zlotu przenieśli w swoje środowiska te wszystkie wspaniałe idee przebaczenia, pojednania, solidarności i zaufania.

Notowała HALINA SKARBK

Sekretnie konta w bankach?

Manuel Noriega czy też Nicolae Ceausescu, Ferdinand Marcos czy też „Baby Doc” Duvalier — kiedykolwiek dochodzi do obalenia rządów jednostki, zawsze pojawia się nieuniknione pytanie: co z jego kontem w banku szwajcarskim?

Rola banków szwajcarskich, tradycyjnego rajowego uciekających kapitałów, wywołała i tym razem krytyczne komentarze w wielu krajach, a także w Szwajcarii, po obaleniu prezydenta Rumunii i wojskowego przywódcy Panamy. Oba podejrzewa się, że ukryli osobiste fortuny w Szwajcarii. „Raz jeszcze reputacja szwajcarskich centrów finansowych została unurzana w błocie” — skomentował genewski dziennik TRIBUNE DE GENEVE.

Zaś Sergio Salvioni, szwajcarski prawnik reprezentujący rząd Filipin, podejmujący wysiłki na rzecz odzyskania funduszy Marcosa po wzięciu go do niewoli, powiedział: „Jeśli to będzie trwać nadal, będziemy uważani za naród paserów”.

Rząd szwajcarski, zaniepokojony o swój wizerunek, szybko zamroził wszelkie możliwe rachunki prezydenta Ceausescu, nie czekając na werdykt sądu. W sprawie ze strony nowego kierownictwa rumuńskiego. Odpowiedział on również natychmiast na wniosek Waszyngtonu w sprawie zablokowania aktywów związanych z osobą Noriega.

Zamknięcie dostępu do funduszy nie wystarczy samo w sobie. Jeśli przyjąć, iż dotychczasowe doświadczenia stanowią jakiś wzór, można oczekiwać, iż nastąpi długa i skomplikowana walka, zanim uda się doprowadzić do powrotu do kraju jakiegokolwiek walerów. Natomiast szacunki do ich rozmiarów są bardzo zróżnicowane.

Zgodnie z rumuńskimi źródłami emigracyjnymi, Ceausescu miał przekazać 400 mln dolarów w większości w zlocie, które zostały ulokowane w Szwajcarii w czasie jego panowania. Natomiast Rumuński Bank Narodowy zwracał się do wszystkich krajów, by zablokowały wszelkie umieszczone w nich rachunki Ceausescu, nie podał żadnych liczb.

W trakcie swego tajnego procesu Ceausescu zaprzeczył, jakoby tego rodzaju konta w ogóle istniały. Credit Suisse, jeden z dwóch banków szwajcarskich, które otrzymały rządowy nakaz zamrożenia, oświadczył, iż szczegółowa kontrola nie przyniosła żadnych dowodów co do istnienia jakichś funduszy Ceausescu. Natomiast Uniom Bank odmówił komentarzy, powołując się na zasady poufności obowiązujące w jego działaniu.

Jeżeli chodzi o konta Noriega, których istnienie się podejrzewa, to ich odkrycie może być łatwiejsze. We wniosku amerykańskim w sprawie pomocy dla sądu wymienienia się nazwy banków, w których znajdują się objęte podejrzeniem fundusze, a także podaje się inne szczegóły. Rzecznik amerykańskiego ministerstwa sprawiedliwości David Runkel powiedział, że uważa się, iż Noriega do końca transferu co najmniej 10 mln dolarów na różnorodne rachunki w Europie.

W obydwu przypadkach reakcja Szwajcarii była równie szybka jak poprzednio w 1986 r., po obaleniu prezydenta Marcosa i dyktatora Haiti Duvaliera. Jednakże jak do tej pory, wysiłki rządów w obu tych ostatnich krajach, zmierzające do odzyskania złożonych w złej wierze dóbr, nadal nie przynoszą rezultatów.

Jak ocenia rząd Manili, aktywa przetrzymywane w Szwajcarii przez Marcosa i jego krewnych można liczyć w setki milionów dolarów. Są one zamrożone od czasu rozpoczęcia postępowania w 1986 r. w trzech kantonach — Zurychu, Genewie i Fribourgu, które trwa do dziś. Prawnicy reprezentujący rodzinę Marcosa złożyli apelację na właściwie wszelkich możliwych poziomach, tak więc oczekuje się, iż ostateczna decyzja może nadejść dopiero w wyniku decyzji Trybunału Federalnego, czy szwajcarskiego sądu najwyższego. Niedawno jednakże pierwsze 2,3 mln dolarów powróciło do Manili.

W przypadku majątku Duvaliera, nie zgłoszono żadnych apelacji, sugerując, iż chodzi o jedyne nie niewielkie wartości. W listopadzie 1989 roku Sąd Najwyższy formalnie wydał wyrok popierający żądania władz haitańskich, lecz jak dotąd nie ma żadnej informacji, iż jakiegokolwiek fundusze powróciły do tego kraju.

W 1974 r. przywódca wojskowy, który obalili cesarza Etiopii Haile Selasję, ogłosili, iż przekazał on za granicę 15 mld dolarów, z czego większość do Szwajcarii. Nigdy jednak nie sformułowali oni formalnego wniosku wobec rządu szwajcarskiego i nie ponowili swych żądań.

Od wielu dziesiątków lat w prasie szwajcarskiej pojawiają się podobne, nie potwierdzone doniesienia nt. sekretnych kont szwajcarskich posiadanych rzekomo przez przywódców krajów Trzeciego Świata. Prezydent Argentyny Juan Peron, Anastazio Somoza z Nikaragui, Rene Barrios z Boliwii, to niektóre z nazwisk wymienianych w prasie. Należy również do nich był prezydent Meksyku Miguel de la Madrid.

Rozgłos nt. tajnych rachunków szwajcarskich bywa również wykorzystywany dla rozniecenia na strojów niechęci wobec ich posiadaczy. Taka próba miała miejsce najwyraźniej w końcu 1944 r., kiedy to kontrolowana przez faszystów prasa w północnych Włoszech zamieściła doniesienia, że król Victor Emanuel i były minister spraw zagranicznych hrabia Galeazzo Ciano przekazali do Szwajcarii ponad 100 mln dolarów. Obaj w 1943 r. odwrócili się od Mussoliniego. Rok później faszysti dokonali egzekucji na Ciano.

(Według AP)

O tym, że w nowym roku obudziliśmy się w całkiem innym kraju, było głośno i pisało się na ten temat także w „Nadodrzcu”. Wiele stwierdzeń szczegółowych z tą tezą związanych, jest dyskusyjnych, wiele błędnych, a niektóre zwyczajnie zwietrzałe. Sama wszakże teza zapewne się obroni.

Weszliśmy więc w nowy porządek ekonomiczny. Widzimy już pierwsze jego objawy. Nie należą do gatunku przyjemnych. Przytomnie sobie trzeba jednak powiedzieć, że pierwsze, a także następne, objawy jakiegoś procesu, to: bynajmniej nie jego skutki, nie wyniki, lecz środki realizacyjne. Za wcześniej na wyroki ostateczne, a tym bardziej — na potencjalne.

Cel jest oczywiście tak godny uznania, że aż bezdyskusyjny, jeśli rozumieć pod słowem „cel” wprowadzenie gospodarki polskiej „na prostą”, wmontowanie w nią sprawnego układu napędowego, który ma jej zapewnić dynamiczny rozwój.

Zasada głosząca, że cel uświęca środki była bezwzględnie potępiana przez promotorów i ideologów obecnej polityki kierowniczej w Polsce. Jako niemoralna. Obecnie coraz więcej jest takich, którzy zaczynają zadawać sobie pytania wysoce niepokojące i nieprzyjemne. Na przykład takie: czy jej moralność zależy wyłącznie od tego, przez kogo jest stosowana? A może zależy od warunków, w których się ją stosuje? Mnożą się wątpliwości.

Osobiście uważam, że — kiedyś — natrętne wciskanie marksizmu spręparowanego w stalinowskiej kuchni — w daleko, ale to bardzo daleko mniejszym stopniu przyczyniło się do rozpowszechnienia poglądu, iż teoria względności odnosi się nie tylko do zjawisk natury fizycznej — niż praktyka społeczna i gospodarcza lat ostatnich i najbliższych. Zaczęło się dokładne szkolenie...

Natomiast szkolenie daleko mniej dokładne, bo typu propagandowego, odbywa się w magliu słów rozpowszechnianych przez telewizję, radio i prasę i z poświęconych (lub nie) trybun. Cechą tego szkolenia jest masowa produkcja tematów zastępczych. Nie ma się co oburzać na ten proceder. Chirurgiczne operacje wymagają z reguły stosowania znieczulenia, narkozy, a chirurg jest w sytuacji konkretnej, przymusowej. Znieczula tym, czym dysponuje, na co go stać.

Odwracanie uwagi od zadawanego, w uzdrowieńczej intencji, bólu jest przecież środkiem dozwolonym, nawet godnym pochwały. Jeśli jest gwarancją, że pacjentowi to wyjdzie na zdrowie. A co potem? Już tylko od pacjenta zależy, na ile recytowane mu bajki przyjmie za dobrą monetę, a w jakim stopniu się nim ubawi.

Ale wśród serwowanych opinii, a także obrosłych już decyzjami tematów zastępczych, spotyka się rzeczy niezrozumiałe w naszej polskiej sytuacji. Są kłopoty z budżetem państwowym i w tym właśnie czasie podejmuje się decyzje o zmianie nazw, symboli państwowych. Realizacja decyzji dotyczących symboliki pociąganie za sobą ogromne koszty. Ciekaw jestem bardzo opinii ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego na temat naszych ceremonialnych innowacji w obecnej dobie.

Karmi się także publikę naukami, że polska gospodarka była doprowadzona do ruiny przez (tu są dwie wersje) 40 lub 45 lat. Z tych też wyciągnąć wypada wniosek, że albo polska gospodarka musiała być w 1945 roku w stanie kolosalnego rozkwitu i posiadać ogromny potencjał, skoro na jej zrujnowanie „komunie” było po trzeba aż 45 czy też 40 lat. Albo też komuniści, jako burzyciele, byli wyjątkowymi safandulami. Skoro potrzebowali tyle czasu. W takim razie jednak, jaki sens jest straszyć publikę bandą safandulów, wmyślać publicę, że safandule są groźne? Coś tu się kupy nie trzyma. Przytomność zachęca, nawiasem mówiąc, wracać. Człowiek bzdury miewają krótki żywot.

Anglosasi — którym nie należy wierzyć, gdy udają naszych doznających lub dziedzicznych przyjaciół, ale których opinie trzeba traktować poważnie, gdy je wypowiadają o nas, ale nie: do nas — wielokrotnie w swoich periodykach zwracali uwagę na niezrozumiałe ich zdaniem zjawisko. Jak to się mogło dzieć, że kraj, któremu przybyło po wojnie prawie półtora dziesiątka milionów ludzi, był w stanie do lat 70-tych rozwijać pomimo wszystko, potencjał go spodarczy i infrastrukturę społeczną (oświata, służba zdrowia, rozpowszechnianie kultury). Przecież ta ilość ludzi — unikalne zjawisko w Europie — to prawie Czechosłowacja lub NRD, a dużo więcej niż Szwecja.

Jeszcze w grudniu ubiegłego roku „Financial Times” renomowany dziennik, czytany przez finansjerę i „blatę kołnierzyki”, w przekrojowym tekście o dylematach polskiej gospodarki, pisał o nieodpowiedzialnej polityce gospodarczej ostatnich dwóch dziesięcioleci i o niepotulnej ludności.

Znaki czasu

ci. Ani słowa złośliwości pod adresem poprzedniego okresu. Oczywiście, nie należy na tej podstawie sądzić, że przedtem wszystkie decyzje gospodarcze były celowe, nie było błędów itp.

Ale brytyjskiemu kompetentnemu komentatorowi nie wypłynęły się spod pióra bzdura o 40 czy 45 latach ruiny. To jest możliwe w Warszawie.

Wszakże i pod innym względem obudziliśmy się w całkiem innym kraju.

— w pierwszym kazaniu, wygłoszonym przez państwowe radio, w pierwszą niedzielę 1990 roku, frontalnie zaatakowane zostało obowiązujące (jeszcze?) w państwie prawo o aborcji. We francuskim radio (we Francji też większość ludności przyznaje się do katolicyzmu) coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Byłaby wrzawa w prasie na taką skalę, że szkoda gadać!

— niedawno w „Magazynie „GL” ukazał się wywiad dziennikarza zorientowanego PAP z metropolią krakowską, ks. kardynałem Macharskim, w którym ks. kardynał stwierdził m.in., że biskup Stanisław Szczępanowa poniósł śmierć „w obronie ładu moralnego w narodzie”. Udokumentowanych dowodów na takie stwierdzenie nie ma. Ba, nawet w samym polskim kościele nie ma zgodności poglądów. Inny polski dostojnik kościelny kilka lat temu stwierdził, że to sporu między Bolesławem Śmiałym, a biskupem krakowskim jest niejasne, a jedno, co jest pewne to to, że nie wyszedł na tym sporze ani ówczesny Kościół w Polsce ani państwo polskie! Wielu znawców polskiego Średniowiecza stało i stoi na stanowisku, że istota sporu była opozycja klęki możnowładców przeciw wzmocnieniu odbudowanej władzy państwowej (królewskiej).

— w tymże wywiadzie Stanisław Hejzusz pasowany został na wybitnego humanistę chrześcijańskiego. Postać to była niewątpliwie wybitna, ale kontrowersyjna, — przynajmniej na polskie XVI-wieczne zwyczaje. Połączenie humanizmu z pioniorską rolą w forsowaniu nietolerancji religijnej dziwnie jakos dzwierzy.

— podniesione są w wywiadzie zaśluzi kardynała Jana Puzyny. Otóż znana to była postać w Galicji. Znana z przesładowania ks. St. Stojalowskiego i wszelkich poczynąń zmierzających do szerzenia oświaty na wsi, także tej w klerykalnym wydaniu, bo inną ks. Stojalowski nie popularyzował.

Redakcja „GL” nie opatrzyła tych wielu innych, zadziwiających dziś (i nie tylko dziś) stwierdzeń żadnymi wyjaśnieniami, zgodnymi ze stanem wiedzy. (Do kardynała nie mam pretensji — ma prawo mieć swoją opinię).

Signum temporis?

FRANCISZEK BRODZIK

JAKA PARTIA, JAKI SOCJALIZM?

Z Andrzejem Brachmańskim, mem Ruszczyński a — delegatami polskiej lewicy rozmawia Wiesław

Andrzejem Czarkowskim, Adamem Ruszczyński a — delegatami na XI Zjazd PZPR o szansach

WIESŁAW NODZYŃSKI: — Wi tam panów w naszej redakcji jako delegatów na XI Zjazd PZPR, którą, jak sądzę, macie ambicje odmieniać, lub stworzyć nową partię, aby mogła ona sprostać wyzwaniom współczesności. Wywiedziecie się z Zielonogórskiej Platformy Lewicy, której początkowo towarzyszyło wiele nieufności. Fakt, że uzyskaliście mandat z poręki tej płaszczyzny myślenia o sprawach polskiej lewicy traktuję jako wasz sukces. Przypomnijcie, jak to się zaczęło.

ADAM RUSZCZYŃSKI: — Pomysł zrodził się po klęsce wyborczej PZPR w dniu 4 czerwca ubr., kiedy okazało się, że nie jest ona już zdolna do działania w dotychczasowym kształcie, że nie wy-

gólnego dorobku myśli lewicowej, także europejskiej, pragmatycznej, która będzie realizować program „tu i teraz” i pozyskiwać poparcie nie przez ilość legitymacji partyjnych, a zdobywanie głosów w wyborach. Z całą świadomością, że to wymaga czasu.

ANDRZEJ CZARKOWSKI: — Mnie przywiódł do udziału w batalii o mandat delegata na Zjazd niepokój o przyszłość polskiej lewicy. Opowiadałem się, zważywszy, że istnieje szerokie spectrum tego pojęcia — od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy — za lewicą socjaldemokratyczną, zbliżoną do centrum. Tzn. odrzucam teorię o walce klas i dyktaturze proletariatu jako zupełnie anachroniczną,

— **A.B.:** Studiując różne materiały z dotychczasowej dyskusji o partii, dostrzega się w nich dużą zbieżność myślenia, ale czy to oznacza dążenie do jedności? To się okaże dopiero na Zjeździe. Gdyby jednak doszło do zróżnicowania, to przede wszystkim na tle stosunku do kwestii własności.

— **W.N.:** Jest to jedna z podstawowych kwestii, od rozstrzygnięcia której zależeć będzie charakter partii lewicowej, partii ludzi pracy najmniejszej.

— **A.B.:** Obok niej, ważne dla przyszłych losów partii są kwestie personalne.

— **A.R.:** Wielu naszych dotychczasowych liderów ponosi temperament polityczny, który może być zagrożeniem tej jedności. Byłoby to klęska dotychczasowej

się za koniecznością szukania kompromisów w imię jedności, jako dla polskiej lewicy najważniejszej.

— **W.N.:** Jedność jest również ważna jak program.

— **A.R.:** O to spieraliśmy się przez kilka miesięcy. Sądzę, że osiągnęliśmy w tej sprawie przynajmniej niezbędne minimum. Podkreślamy np., że przyszła partia powinna być instrumentem osiągnięcia założonych celów, nie może być celem samym w sobie. Mając świadomość złożoności i zróżnicowania społecznych interesów, chcielibyśmy, aby ta partia była rzecznikiem interesów ludzi pracy najmniejszej, a jest to pojęcie dość szerokie. Najbliższe miesiące przyniosą ostre zróżnicowanie, a nawet podziały ludzi pod względem materialnym, to już zresztą dzisiaj dobrze widać. Będzie to proces zgola naturalny, nie mający wiele wspólnego z dzisiejszymi dążeniami do solidaryzmu narodowego. Wielu ludzi, którzy 4 czerwca postawili na program „Solidarności” już stwierdza, że nie stanowi on takiej prostej drogi do ogólnego dobrobytu teraz i w przyszłości. Nie chcę dezawuować programu wicepremiera Balcerowicza, bo nie widzę dla niego alternatywy, ale to właśnie realizacja tego programu pogłębi proces różnicowania społecznego, czy się tego chce czy nie, wynikający chociażby z narastającego bezrobocia.

— **W.N.:** Rodzi się w związku z tym społecznie formułowane pytanie: jaka jest granica ofiar, które musi ponieść społeczeństwo w procesie reform?

— **A.R.:** Granicę tę stanowią możliwości równe szanse życiowego startu dla dzieci i młodzieży, minimum egzystencji dla ludzi starych i niepełnosprawnych.

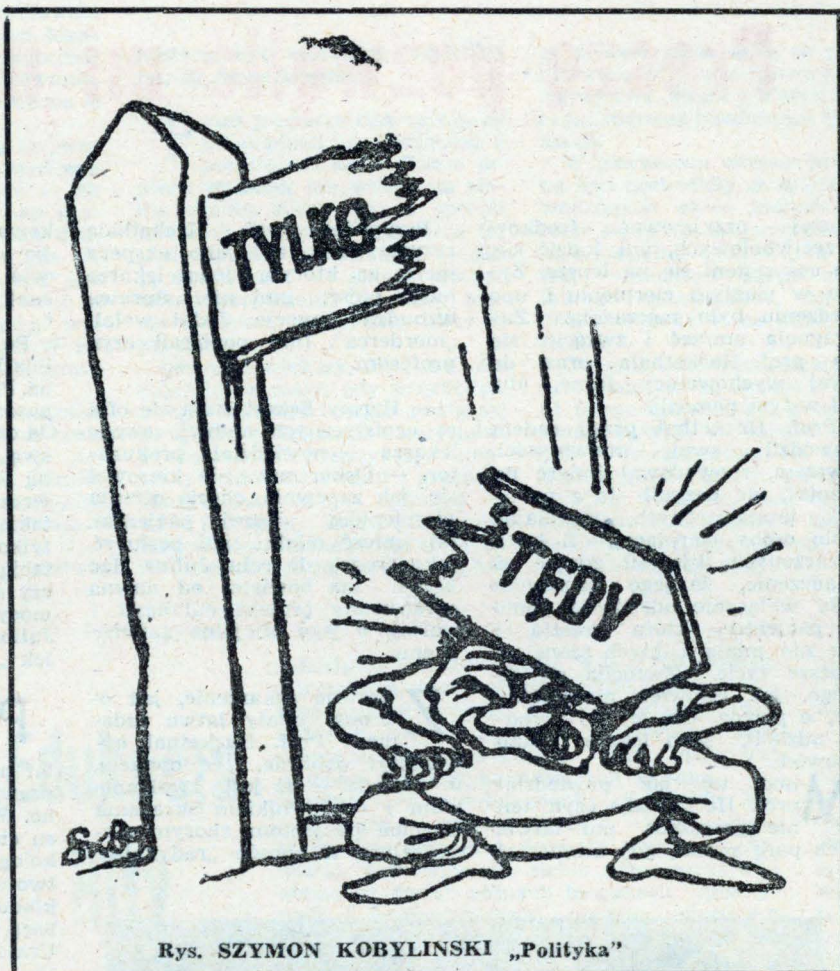
— **A.Cz.:** W sumie bezpieczeństwo socjalne podstawowych rzesz ludzi pracy, zwłaszcza zaś rencistów i emerytów, których nie można odesłać na socjalne zakupki.

— **A.B.:** Społeczną bazę przyszłej partii, z tym, że nie może stanowić jej tylko klasa robotnicza. Ołbrzymią rolę, większą niż dotychczas w PZPR, będzie miała w niej do spełnienia inteligencja, której bliskie są ideały demokracji, równości, sprawiedliwości, praworządności. To ona winna wypracowywać program partii, który byłby do przyjęcia także dla ludzi z nią nie związanych, np. tworzących elektorat w wyborach.

— **A.Cz.:** Niezupełnie się z tym zgadzam. Inteligencja nie może być jedynym czynnikiem partiotwórczym, choć musi zapewnić jej podstawy teoretyczne, rozumiane niedogmatycznie. Inna rzecz, że w wyniku wieloletnich antyinteligentkich praktyk PZPR, została ona w dużej mierze skutecznie wyleczona z ochoty do działań politycznych i ktoś inny przejął rzecznictwo jej interesów.

— **W.N.:** Jednak dalej mówimy o jakimś modelu socjalizmu, do którego chcecie dążyć...

— **A.B.:** Tak. Chcielibyśmy przenieść ten socjalizm ze sfery



Rys. SZYMON KOBYLINSKI „Polityka”

starczą już nawet poważne jej zmiany. Trzeba stworzyć nową partię mocno osadzoną w najlepszych tradycjach lewicy, ale zasadniczo różniącą się od tej, która jeszcze jest, demokratyczną, żywo reagującą na realia społeczne i polityczne.

ANDRZEJ BRACHMAŃSKI: — Na początku było nas niewielu i nawet się obawialiśmy, czy nie działamy na wyrost. Okazało się, jednak, że przychodzi do nas coraz więcej ludzi z różnymi poglądami, że jest o co się spierać. Jeszcze później, w czasie naszych spotkań w organizacjach partyjnych i w trakcie kampanii przedwyborczej mogliśmy się przekonać, że ludzi podobnie myślących jak my, jest w mieście sporo, którzy nie wstydzą się słowa socjalizm, chociaż dzisiaj wymaga ono innych konotacji. Na Zjeździe chcielibyśmy się przyczynić do powstania partii, która czerpie z

ale nie jestem za odtworzeniem w pełni kapitalistycznych stosunków społecznych bo i inne formy własności są równouprawnione. W tym sensie myślę, że Kongres nowej partii, jeśli podejmie te kwestie, będzie miał historyczne znaczenie, podobnie jak kiedyś Kongres Zjednoczeniowy.

— **A.B.:** Wszyscy byśmy chcieli, żeby to był Zjazd przełomowy, choć nie ma pewności, czy taki będzie.

— **W.N.:** Z tego co dotychczas powiedzieliście wynika, że opowiadacie się za jedną partią, choć nie ma gwarancji, że tak będzie.

— **A.Cz.:** Obawiam się, że takie możliwości mogą być ograniczone, choć wielu członków partii, myśli o potrzebie zachowania jedności. Na Zjeździe może dojść do politycznych podziałów i utworzenia na przykład kilku partii lewicowych.

— **W.N.:** Co by je różniło?

orientacji lewicowej w Polsce, choć sądzę, że zwycięży zdrowy rozsądek.

— **W.N.:** Idzie o mechanizmy kreowania zespołów przywódczych, trudno polegać w tej sprawie tylko na zdrowym rozsądku.

— **A.Cz.:** Kwestie personalne są też powiązane z różnymi grupami interesów. Jedną z nich stanowi dotychczasowy aparat partyjny. Dla tej grupy kształt partii oznacza być albo nie być w określonym systemie. Istnieje też grupa związana z klasowymi związkami zawodowymi. Niedawno wskazał na te związki Mieczysław Rakowski, jako na naturalną bazę rekrutacyjną przyszłej partii. Istnieje też grupa parlamentarna, której głos na Zjeździe będzie wiele znaczyć. O losach partii zadecyduje jednak większość delegatów.

— **A.B.:** W sumie opowiadamy

Ciąg dalszy na str. 8

Iaka partia, jaki socjalizm

Ciąg dalszy ze str. 7

produkcji, która musi być tere-
nem gry rynkowej, ekonomicz-
nej, do sfery podziału. O tym już
tutaj mówiliśmy.

— W.N.: Gdyby to chociaż bar-
dziej dookreślić — macie na my-
śli socjalizm np. typu szwedzkie-
go, gdzie mimo gospodarki wiele
rynkowej mamy do czynienia z
określonymi funkcjami państwa
w sferze społecznej i gdzie pań-
stwo to działa w oparciu o spraw-
ny system demokratyczny.

— A.B.: Sądę, że przede wszy-
stkim jest to myślenie bliżej re-
aliów i bliżej życia.

— A.R.: Gdybyśmy szukali pe-
wnych analogii europejskich, mo-
żna by powiedzieć, że widzimy je
dnak potrzebę interwencjonizmu
państwowego, głównie w dziedzi-
nie prawno-finansowego oddziały-
wania na gospodarkę i prowadze-
nia właściwej, odpowiadającej
interesom ludzi pracy polityki
społecznej i socjalnej. Na pewno
ta wizja socjalizmu, o której my-
ślimy, jest zbliżona do koncepcji
socjaldemokracji szwedzkiej czy
zachodniemieckiej.

— A.B.: Likwidować partię przy-
chodzi ludziom, którzy stanowili
w niej nurt reformatorski, dzie-
ki którym otworzyła się ona na
zewnątrz. Tragedią PZPR jest to,
że wielu reformatörów, wcześniej
od niej odeszło, przechodząc na
drugą stronę barykady. W rzą-
dzie Mazowieckiego pięciu mini-
strów z OKP to byli jej członko-
wie.

— A.Cz.: Pragnę dorzucić, że
gdyby nie reformatörzy w partii,
nie wiadomo, czy doświadczenia
rumuńskie nie byłyby naszym u-
działem.

— W.N.: Skoro stwierdziliście,
że rola PZPR już się definityw-
nie skończyła i macie wizję no-
wej partii — to czy nie możecie
sobie wyobrazić, w jakie sojusze
mogłaby ona wchodzić, bo sama
niewiele będzie mogła zdziałać?

A.Cz.: To trudno już dzisiaj
przesądzić, myślę jednak, że nie
będą to sojusze ani z lewa ani z
prawa, ale z centrum. Vide Fran-
cja lub Włochy. Ale będą je
przede wszystkim dyktować rea-
lia.

— W.N.: Życzę wam, abyście
się ich zawsze trzymali. Owocnej
pracy na Zjeździe.

Wieczorem 18 kwietnia 1984 roku w Traunstein w Górnej Ba-
warii lekarz, prof. Julius Hackethal lat 64, uśmiercił swą nieuleczal-
nie chorą pacjentkę Hermy Eckert lat 69, przez podanie jej, świa-
domie i na jej życzenie, odpowiedniej dawki cyankali.

Sprawa wyszła na jaw po
dwóch latach. Prof. Hac-
kethal stanął przed sądem
oskarżony o umyślne spowodowa-
nie śmierci. Ten głośny pro-
ces wywołał publiczne dysku-
sje z temat od dawna nabrzmia-
ły w RFN, mianowicie euta-
nazji.

Jak wykazał przewód sądo-
wy, Hermy Eckert od lat cier-
piała na złośliwy nowotwór, u-
mieścił w twarzy. Choro-
ba czyniła widoczne postępy i
była nie do zahamowania. Her-
my, oszpecona i zrozpaczona,
poddawała się chorobie i pogodzi-
ła z losem. Ale nie chciała już

dawkę śmiertelnego specyfiku,
i następnych, gdy Irene von
Krach mieszała go z wodą, u-
znał za najtrudniejsze chwile
swego życia. Tuż przed podaniem
trucizny raz jeszcze zapytał pa-
nią Hermy, czy utrzymuje swój
zamiar. Pragnął w głębi duszy
— jak potem twierdził, by cho-
ra odpowiedziała „nie”. Ale Her-
my powtórzyła dwukrotnie:

— Proszę pozwolić mi um-
rzeć, profesorze.

Wówczas Irene von Krach, w
obecności profesora przysunęła
jej do ust szklankę z trucizną.

Proszę pozwolić mi umrzeć

dłużej przyjmować środków
przeciwbólowych, ani ludzić się,
że coś zmieni się na lepsze. Ży-
cie w ciągłym cierpieniu i upo-
śledzeniu było męczarnią. Za-
pragnęła umrzeć i zwróciła się
do prof. Hackethala oraz do
swej wychowawcy Irene, aby
jej w tym pomogli.

Prof. Hackethal przed sądem
dowodził swej niewinności.
Owszem, spowodował śmierć pa-
cjentki, ale uczynił to z pobu-
dek humanitarnych, spełniając
wolę osoby cierpiącej. Z ławy
oskarżonych wygłosił gorące oś-
wiadczenie, że jego zamiarem
było wyłącznie udzielenie pomo-
cy pacjentce, która zresztą i
tak nie miała żadnych szans na
dłuższe życie. Zwróciła się do
niego, jak człowiek nieszczęśli-
wy, o pomoc. On jej tej pomo-
cy udzielił, jako lekarz i jako
człowiek.

Mimo to, jak powiedział
prof. Hackethal, czyn ten
nie przyszedł mu łatwo.
Tych parę minut, gdy odmierzał

Przypadek prof. Hackethala
rozpatrywany był jako eksper-
yment, za którym jedni lekarze
mogą pójść, inni nie. Sprawa
wzbudziła emocje. Jedni wołali
„morderca”. Inni popierali czyn
profesora.

— Hermy Eckert stała się ofia-
rą egoistycznych ambicji swego
lekarza — powiedział prokura-
tor. — Oskarżony nie kierował
się, jak zapewnia, chęcią ulżenia
cierpiącym chorej pacjentki.
Jej śmierć miała mu posłużyć
jako środek do celu. Julius Hac-
kethal ma bowiem od dawna
opracowany projekt eutanazji i
walczy o jego oficjalne zatwier-
dzenie.

Zarówno oskarżenie, jak o-
brona, miały łatwe zadanie.
Prof. Hackethal oś-
wiadczył dobitnie, że owszem,
to prawda — iż jest zwolenni-
kiem i orędownikiem skracania
cierpień pacjentom chorym nie-
uleczalnie, w sposób „radikalny

i ostateczny”. Oczywiście wy-
łącznie na życzenie samych za-
interesowanych oraz przy apro-
bacie najbliższej rodziny.

Przyznał też, że od dawna
występuje w tej sprawie na roz-
maitych zebraniach i zgromadze-
niach. Zgodził się nawet na u-
dział w telewizyjnym „Talk-
show”, bardzo popularnym w
RFN programie, w którym roz-
rywka miesza się z problematy-
ką społeczną, polityczną i oby-
czajową.

Na ławie oskarżonych zasia-
dła obok profesora także wy-
chowanica zmarłej, Irene. Ale
jak skończył się proces, dokła-
dnie nie wiadomo. Bardzo się prze-
ciągał. Aż wreszcie, po latach,
gazety — pewnie zmęczone wa-
-

kowaniem wciąż tego samego —
bo szczegółów nowych w spra-
wie nie przybywało, straciły te-
mat z oczu.

Po pewnym czasie nazwisko Ju-
lius Hackethal znów stało się gło-
sne. Profesor pochwalałony został za
nowoczesne operacje raka piersi.
Od czasu, gdy w 1964 roku otworzył
swą własną klinikę onkologicz-
ną „Eubios”, przeprowadził tam,
wraz ze swymi asystentami, 326
takich operacji, spośród których
tylko siedem wiązało się z ampu-
tacją. W „Eubios” nowotwory le-
czy się operacyjnie oraz przy po-
mocy leku o nazwie „Superfact”.
Julius Hackethal nazwał ten
lek „kluczem do terapii”.

Prasa życzliwie przypomnia-
ła drogę naukową profesora.
W ciągu czterdziestu
lat pracy napisał on setki roz-
praw, które zostały opublikowa-
ne. Wydał kilka książek z zakre-
su chirurgii oraz leczenia farma-
kologicznego w chorobach nowo-
tworowych. Przez 18 lat był wy-
kładowcą w Munster i Nurn-
berg. Wygłosił setki odczytów.
Uratował tysiące chorych.

„To nie sprawa Hermy Eckert
uczyniła prof. Hackethala sław-
nym, ale jego dorobek naukowy
i osiągnięcia w medycynie” —
napisał kiedyś „Quick”. Sporo lu-
dzi jednak pamięta, co przed kil-
ku laty nadała telewizja. Ode-
ście Hermy Eckert oraz poprze-
dzające tę chwilę przygotowania,
zostały za jej zgodą, nagrane na
video. Podczas dyskusji związa-
nych z procesem, telewizja przed-
stawiła to nagranie. Był to repor-
taż krótki, lecz do głębi wstrzą-
sający.

Podobnie, jak informacja, że
prof. Julius Hackethal sam tak-
że jest nieuleczalnie chory na
raka...

Na podstawie prasy zachodnio-
niemieckiej

opracowała:
BEATA BARTOSIEWICZ



Hermy Eckert i prof. Julius Hackethal

Jesienią 1982 roku proboszcz parafii Najświętszego Zbawiciela w Zielonej Górze ks. Konrad Herrmann zwrócił się do lekarza dr Maurycego Szwejkowskiego. Nie chodziło o poradę lekarską lecz o lekarstwo. Przywołano je z Berlina Zachodniego, RFN, Szwecji, Francji i składowano na plebanii, w biurze parafialnym, w mieszkaniu proboszcza. A gdy się nie mieściły, wprost na schodach.

Ludzie oblegali plebanię, a księża i zakonnice wśród tysięcy opakowań starali się niekiedy odnaleźć lek, na którym akurat komuś bardzo pilnie zależało. Sytuacja stała się wprost nie możliwa. Poza tym, przy lekarstwach powinni przecież pracować ludzie znający się na nich. Tymczasem leków nie ubywało, choć ich część proboszcz kierował do szpitali.

Dr Szwejkowski, specjalista radiolog, był już wówczas na emeryturze i miał trochę czasu. Współnie z ks. Herrmannem dość szybko uzyskali lokal przy ulicy Jedności Robotniczej. Pod ten adres przewieziono kartony, paczki i worki z medykamentami — i plebania została wreszcie odblokowana. Następnie dr Szwejkowski skrzyknął grupę znajomych lekarzy i farmaceutów. Niezwłocznie przystąpiono do rozpakowania, rozpoznawania i porządkowania leków.

W ten sposób powstała ta „wojenna” apteka. Funkcjonować miała tylko rok, w najgorszym — jak wtedy sądzono — okresie dla społeczeństwa. Funkcjonuje do dziś, choć minęło osiem lat. Cena lekarstw w aptekach „Cefarmu” jest obecnie bardzo wysoka. Nawet za popularne „krople waleriana” trzeba płacić kilkaset złotych. W tej aptece każde lekarstwo otrzymuje się bezpłatnie.

Dr Andrzej Rabenda, farmaceuta i biolog, pełniący społecznie funkcję kierownika, protestuje: nie jest to apteka, lecz punkt bezpłatnego wydawania leków pochodzących z darów, jakie napływają z zagranicy.

Dr Rabenda etatowo pracuje

w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, jest kierownikiem działu higieny pracy. W aptece tej (pozostaną jednak przy tym określeniu) pracuje całkowicie społecznie. Opowiadając mi jej historię, mówi, że warto byłoby kiedyś opisać słynne postacie zielonogórskich lekarzy — ludzi ofiar nych i wartościowych, aby pamiętać o nich nie zniszczył czas. Taką

postać był, nieżyjący od kilku lat, dr Szwejkowski.

Przez pierwsze lata czynsz za lokal płacił ks. Herrmann z parafialnej kasy. Potem do piero wydatek ten wzięło na siebie miasto. Kiedy już w sposób oficjalny doceniono znaczenie tej „księżej” lub „kościelnej” — jak ją nazywano — apteki, władze miasta przydzieliły jej nowy, lepszy i większy lokal, przy ulicy Sikorskiego.

Lepszy i większy, ale i tak okazuje się za mały, gdy przybędzie nowy transport i nagle zwala się na podłogę dziesiątki kartonów. Proboszcz dalej utrzymuje kontakty z towarzystwami i grupami charytatywnymi — głównie w RFN i Francji, także z zakonem Kawalerów Maltańskich w Berlinie Zachodnim. Są tam ludzie, któ

rzy chcą robić coś dobrego dla bliźnich. Zbierają leki i organizują ich przywóz do Zielonej Góry.

Wynikiem tych kontaktów nie tylko są lekarstwa, wydawane na stopnie indywidualnym osobom, na recepty. Korzystają również apteki szpitalne — w Nowej Soli, Sułechowie, Lubsku, częściowo w Zielonej Górze, ostatnio w Gubinie. Szpitale otrzymują łóżka i sprzęt medyczny.

Pisałam niedawno o aparaturze do badań izotopowych, którą otrzymała ma wkrótce, z jednej z zachodnioblińskich klinik, szpital w Zielonej Górze. Pochodzące z darów wózki inwalidzkie i prote-

zy dostało wiele osób, za pośrednictwem Wydziału Zdrowia i Towarzystwa Walki z Kalectwem, o czym również pisałam na tych łamach.

W pierwszym okresie przysyłane leki pochodziły ze zbiorów prowadzonych wśród ludności. Zdarzały się nawet napoczęte buteleczki i niepełne opakowania drażetek. Wymagało to bardzo skrupulatnego sprawdzania, zwłaszcza daty ważności — na każdym pudełku.

Obecnie leki przeznaczone dla nas, zabierane są wprost z wytwórni farmaceutycznych, w opakowaniach dużych, co bardzo ułatwia pracę farmaceutom, na miejscu. Tam też, od razu, sprawdzane są terminy ważności. Jeśli mimo to trafi się w transporcie lek przedterminowany, kieruje się go dla potrzeb weterynarii.

Ciekawe, że producenci leków na Zachodzie wyznaczają przeważnie dość krótkie terminy przydatności. Robią to celowo, by wymusić szybki zakup. Pewnego razu nadeszły do nas opakowania płynnej glukozy, przeznaczonej do kropliówek. Niestety — z nieważnym już terminem. Serce się krajało na myśl, że trzeba będzie wszystko wyrzucić.

Na wszelki wypadek posłano glukozę do Instytutu Leków, do sprawdzenia. I okazało się, że jest w porządku i można ją podawać pacjentom bez najmniejszej obawy.

Apteka otwierana jest o 16.00 i czynna do 18.00, w każdy wtorek i czwartek. Kolejka ustawia się niekiedy już w południe. Przyjeżdżają ludzie z całego województwa oraz z dalszych stron. Trafiają się recepty z Poznania, Głogowa, Legnicy i innych miast. Chodzi najczęściej o leki, których nie ma w „Cefarmie”.

Dawniej ból głowy podobno przechodził po „proszku z kogutkiem”. W okresie, który już pamiętam, gdy bolała głowa polykało się tabletkę „z krzyżykiem”, a na dolegliwości żołądka pomagały krople miętowe. Czego ludzie szukają teraz? O co pytają? Wskuteczność jakich leków wierzą?

Pytają o „Voltaren”, który leczy reumatyzm, o „Nitroglicerynę” oraz o leki regulujące pracę serca, jak „Isoprin”, „Isorbit”, „Ditrat”. Powodzenie mają środki wykrztuśne, jak „Ambroxol” oraz skuteczne w chorobach wrzodowych, jak „Gaviscon”. Niezmierznie popularny jest „Sedariston”, działający uspokajająco. Ludzie poszukują też środków przeciwbólowych, przeciwstresowych i nasennych.

Przy porządkowaniu i wydawaniu leków od samego początku

ciąg dalszy na str. 14



Edukacja Rity

Rita (Sigrid Siewior) lat 26, współczesna, nieskomplikowana, pewna siebie i swych zewnętrznych walorów, mówiąca slangiem („Mam hopla z przeczutką!”), mająca własną dewizę („Muzyka, ciuchy, polowanie na facetów — to się w życiu liczy!”) i równego sobie partnera, znająca swój fryzjerski fach i posiadająca tylko wykształcenie podstawowe, z motywacji w przedstawieniu nie dość wypunktowanych, zostaje słuchaczką „wolnego uniwersytetu”. Trafia do profesora Franka (Zdzisław Grudzień), naukowca z dorobkiem i doświadczeniem, poety, człowieka z zasadami i unormowanym życiem, który, z początku zaszokowany wtargnięciem tej żywiołowej osobki, stopniowo zostaje nią oszołomiony, aż poddaje się głębszej fascynacji, co prowadzi go do zguby.

Ta zgrabnie pokazana historia, pomimo podobieństwa do przypadku mitologicznego króla Cypru zakochanego we własnym dziele, nie jest odbiciem tej opowieści. Frank

Zdzisława Grudnia raczej nie przypomina Pigmaliona, tym bardziej Sigrid Siewior, daleka jest od zimnego posagu Galatei. Para aktorów, prowadzona ręką doświadczonego reżysera (Zbigniew Lesień sam także jest aktorem i był wykonawcą roli Franka w wrocławskim przedstawieniu „Edukacji Rity”), trafnie i wprost ukazuje dwa osobne, całkowicie odmienne dramaty dwojga ludzi, którzy, stanowiąc dla siebie przeciwieństwa i stojąc na dwóch różnych biegunach społecznych i intelektualnych, ulegają nawzajem własnemu wpływom — i nie wynika stąd nic dobrego.

Zdzisław Grudzień stworzył postać zwartą, od pierwszej sceny do ostatniej wiarygodną. Można zrozumieć tego mężczyznę nie pierwszej młodości, który słabnie, nie umiejąc sobie poradzić z uczuciem do znacznie od siebie młodszej, i, w porównaniu z nim oraz z jego dotychczasową towarzyszką życia, wulkanicznej kobiety. Pije, stacza się z katedry, przejmując język i obyczaje Rity, chce się do niej zbliżyć.

„Chodźmy do pubu, wypijemy morze piwa!” — mówi Frank-Grudzień i widzi mu wierz. „Nie, ja teraz chcę o Czechowie!” — odpowiada Rita-Siewior. I widzi jej nie wierzy! Czego ona właściwie chce, kim chce być? Niby staje na swoim: znajduje się wśród studentów, ludzi inteligentnych, i, jak to relacjonuje, w tym towarzystwie rezolutnie zabiera głos, ponieważ jej zasób wiedzy z pewnością już pozwala odróżnić Artura Rubinstein od Heleny Rubinstein. Uda jej się wykuć na pamięć wiersz. Przebiera się w skromniejszą sukienkę, ściągając do tyłu włosy. Mimo to nie jest prawdziwa. Prawdziwa

była wtedy, gdy siadała na krześle byle jak i nie dbała, jak trzeba postawić nogi. Wyzywająca, ale szczerą.

Więc sztuka, więc to przedstawienie, czyż nie jest właśnie o tym, że człowiek nie jest w stanie zmienić swego wnętrza nagle i na siłę, tylko dlatego, że ni stąd ni zowąd zachciało mu się być kimś innym, niż był dotychczas? „Jestem ni pies, ni wydra” — mówi bohaterka. Na pozór prosty wątek, zawiera nurt znaczeń ukrytych, które mogłyby pozostać nieczytelne, gdyby inaczej ustawić postać Rity. Rita Zbigniewa Lesienia i Sigrid Siewior tę sprawę poddaje widzowi do prze-myślenia.

Podziwiać należy aktorów za opanowanie pamięciowe takiej masy tekstu. Scenografia staranna, ciuchy Rity twarzowe. „Bolero” Ravela powracające uparcie ma na celu podrażnić i podniecić widza, oraz przypominać mu, że na scenie dzieje się również historia miłości. Pomimo, a może z powodu całego ładunku uczuć, zawartego w „Bolero” odczuwałam rozdźwięk między muzyką, a następującymi po niej scenami i tekstami.

HALINA AŃSKA

Teatr im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze
Willy Russell „Edukacja Rity”
Tłumaczenie Karol Jakubowicz
Scenografia Piotr Wiecek
Kostiumy Ewa Tejchma
Wykonawcy: Sigrid Siewior-Rita
Zdzisław Grudzień-Frank
Reżyseria: Zbigniew Lesień
Premiera: grudzień 1989 r., Mała scena

Borys Bażanow był w latach 20-tych sekretarzem Biura Politycznego partii bolszewickiej (prowadził protokoły posiedzeń), a także osobistym sekretarzem Stalina. Z tej pozycji mógł najlepiej obserwować dyktatora i to już we wczesnym okresie jego działalności.

Nagromadzono już wiele mitów o osobie Stalina, o jego niezłomnej woli i zdecydowaniu. To mit. Stalin to człowiek bardzo ostrożny i niezdeterminowany. Często nie wie, co począć i jakie zająć stanowisko. Ale absolutnie tego po sobie nie pokazuje. Wiele razy obserwowałem jak się waha, nie może się zdecydować i woli iść za wydarzeniami, aniżeli nimi sterować. Sledzi za tokiem dyskusji i kiedy widzi, że większość członków Biura Politycznego skłania się do jakiejś konkretnej decyzji, zabiera głos i w kilku krótkich zdaniach proponuje podjąć uchwałę tej treści, do jakiej skłania się większość zebranych. Wyraża to prostymi słowami, aby ukryć swą niekompetencję. Na przykład: „Myślę, że należy przyjąć propozycję tow. Rykowa, a to co proponuje tow. Piatakow — nie wyjdzie, towarzysze, nie wyjdzie”.

I okazuje się, że to co Stalin wnioskuje, zostaje przyjęte.

Wspomnienia osobistego sekretarza Stalina

Dyktator w życiu służbowym i prywatnym

(Przypominam, że chodzi tu oczywiście o lata 20., kiedy Stalin był tylko jednym z członków Biura Politycznego, a nie wszechwładnym dyktatorem — M. H.)

Nie orientując się jeszcze co do poziomu stalinowskich kwalifikacji intelektualnych i moralnych, członkowie Biura Politycznego przyjmowali taką taktikę za dobrą monetę. Kiedy się spostreżeli — było już naturalnie za późno.

... Niczego prawdziwie dowcipnego nigdy od Stalina nie usłyszałem. W czasie wszystkich lat wspólnej z nim pracy tylko raz byłem świadkiem, gdy próbował być dowcipnym. Wraz z innymi pracownikami sekretariatu znajdowałem się właśnie w kancelarii, kiedy ze swego gabinetu wyszedł nagle Stalin. Za trzymał się koło nas, wskazał palcem na stojącego obok mnie referenta Towstuchę i po wiedział —

— Towstucha, moja matka miała capa, który był dokładnie do ciebie podobny, tyle, że bez binokli. — Odwrócił się i wszedł z powrotem do gabinetu, a Towstucha tylko lizusowsko zachichotał.

Do sztuki, literatury, muzyki stosunek Stalina był obojętny. Z rzadka tylko chodził do opery — najczęściej na „Aidę”.

(Jak pisać w swoich pamiętnikach córka Stalina — Swietłana Allilujewa — w latach późniejszych Stalin najchętniej oglądał operę „Chowańszczyzna”, w której jest scena zwabienia do pułapki, a następnie zabicia polskich rycerzy heimatna Zółkiewskiego, podczas jego wyprawy na Moskwę. Jak wspomina Swietłana, po oglądnięciu tej sceny Stalin z reguły opuszczał teatr — M. H.)

Kobiety. One Stalina nie interesują. Wystarczy mu własna żona, której także poświęca bardzo mało uwagi.

(Rzeczywiście, jak stwierdzają wszyscy wiarygodni świadkowie, kobiety nie odgrywały żadnej roli nawet w życiu uczuciowym Stalina, a tym bardziej nie miały i nie mogły mieć wpływu na jego działalność. Nawet w młodości nie miał chyba żadnych romansów. Wchodząc w wiek dojrzały ożenił się z Gruzinką Niną Swanidze, z którą miał syna Ja kubę, a następnie z Nadieżdą Allilujewą. O ile wiadomo, przygód miłosnych nie miał również w wieku dojrzałym. Przedwojenna prasa bulwarowa pisała o jego rzekomym romanse z Esterą Kaganowicz — siostrą członka Biura Politycznego Łazarza Kaganowicza. Było to czystym wymysłem. Według maraśdajnych informacji — od samobójczej śmierci Nadieżdy Allilujewej w 1932 r. — nie utrzymywał żadnych intymnych stosunków z kobietami — M. H.)

Jakież więc są namiętności Stalina? Jedna tylko, ale za to wszechogarniająca, absolutna, pochłaniająca go całkowicie i bez reszty: żądza władzy. Namiętność maniackalna, cecha azjatyckiego satrapy dawnych czasów. Tylko tej namiętności służy, tylko nią jest zajęty, tylko w niej widzi cel życia.

(Jeden z najwybitniejszych współpracowników

Lenina, Bucharin, tymi oto słowami scharakteryzował Stalina: „To całkowicie amoralny intrygant, podporządkowujący wszystkim swojej żądzy władzy. Zawsze gotów jest zmienić swe poglądy, gdy uważa, że pomoże mu to pozbyć się któregoś z kolegów z nas. Interesuje go tylko władza. Póki co, aby pozostawać u steru, czyni pewne ustępstwa, ale później wykończy nas wszystkich. Stalin potrafi tylko mścić się, zawsze trzyma sztylet w zanadrzu. Powinniśmy pamiętać jego powiedzenie o „stodczy zemsty”. — M. H.)

Oczywiście w walce o władzę cecha ta jest pożyteczna, ale na pierwszy rzut oka trudno wyjaśnić, w jaki sposób z tak niewielkim za sobem osobistych predyspozycji mógł Stalin osiągnąć absolutną dyktatorską władzę. Wiadomo, że w czasie lutowej i październikowej rewolucji 1917 r. żadnej istotnej roli nie odgrywał. Znajdował się w cieniu i czekał na wybiecia swej godziny. W jakiś czas po zwycięstwie rewolucji Lenin mianował go Ludowym Komisarzem ds. Narodowości. Mało się swym Komisarzatem zajmował. Ocena jego działalności na frontach wojny domowej jest bardzo kontrowersyjna, a w czasie wojny z Polską w 1920 r. kiedy ofensywa na Warszawę nie udała się w rezultacie nie wykonania przez niego i armię, której był wojskowym komisarzem, rozkazów naczelnego dowództwa — działalność ta przyniosła wręcz szkodę.

(Oczywiście, klęska Armii Czerwonej pod Warszawą nie była wynikiem błędów popełnionych przez Stalina jako komisarza politycznego V Armii Konnej Budionnego, wchodzącej w skład wojsk Tuchaczewskiego, lecz umiejętnej operacji armii polskiej dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego. — M. H.)

Prawdziwa kariera Stalina zaczyna się dopiero od tej chwili, gdy Zinowjew i Kamieniew pragnąc opanować spadek po Leninie i walcząc o tę sukcesję z Trockim, wybrali Stalina jako sojusznika, którego trzeba mieć w aparacie partyjnym Zinowjew i Kamieniew nie rozumieli tylko jednej, dziś oczywistej, a wówczas jeszcze nieznannej prawdy — tej mianowicie, że kto ma w swym ręku aparat partyjny, ten posiada również władzę nad całą partią, a zatem i nad krajem.

Wysunąwszy wiosną 1922 r. Stalina na stanowisko sekretarza generalnego partii, Zinowjew uważał, że pozycje jakie sam zajmuje, będąc przewodniczącym Międzynarodówki Komunistycznej i najbardziej wpływowym członkiem Biura Politycznego (w okresie choroby Lenina oraz bezpośrednio po jego śmierci tj. w 1923 i 1924 r. wygłaszał referaty sprawozdawczo-programowe na zjazdach partii — M. H.) są nieporównanie ważniejsze i silniejsze aniżeli osoby stojące na czele aparatu partyjnego, powołanej do spełniania funkcji czysto organizacyjnych. To samo miał prawo myśleć Kamieniew, który zastępując Lenina po linii państwowej, przewodniczył — w czasie jego choroby — na posiedzeniach Rady Komisarzy Ludowych.

Niedocenianie tej nowej funkcji Stalina jako sekretarza generalnego partii, oznaczało całkowite niezrozumienie zachodzących już wówczas procesów koncentracji pełni władzy w rękach aparatu partyjnego. Dla ludzi walczących o władzę w partii komunistycznej i w państwie socjalistycznym jedna sprawa powinna być całkowicie jasna: żeby utrzymać się przy władzy, trzeba mieć zapewnioną większość w Komitecie Centralnym. Ale Komitet Centralny wybierany jest przez zjazd partii.

Aby wybrać korzystny dla siebie skład KC, trzeba mieć za sobą maksymalnie dużą liczbę delegatów wojewódzkich organizacji partyjnych. A przecież delegaci wojewódzcy na zjazd partii nie tyle są wybierani — (wybory są tylko czczą formalnością), ile wyznaczani przez sekretarzy wojewódzkich i ich aparat. Trzeba więc mieć swoich ludzi na stanowiskach sekretarzy wojewódzkich, aby zapewnić sobie dominację na zjeździe partii, a następnie mieć powolny w sobie Komitet Cen-

tralny. Tak więc stanowiący na czele aparatu partyjnego Stalin zapewnił sobie z czasem w ten sposób niepodzielną władzę w partii i państwie.

Ale to miało się okazać dopiero w niedalekiej przyszłości. Na razie dzielił władzę z Kamieniewem i Zinowjewem (których zgładził w latach 30-tych — M. H.) blokując wraz z nimi Trockiego, którego najemny morderca Stalina zabił w Meksyku w sierpniu 1940 roku.

Analizując osobiste życie Stalina i jego postępowanie, trudno doszukać się w nim jakichkolwiek ludzkich cech. — Jedyne co mogłem zauważyć w tym sensie, to pewne ojcowiskie przywiązanie do córki Swietłany. I to tylko do pewnego momentu.

(Rzeczywiście w późniejszym czasie jego stosunek do dorastającej Swietłany, stawał się coraz bardziej brutalny. Gdy zamierzała poślubić Pawła Morozowa, zrobił jej ordynarną awanturę, a swego przyszłego zięcia kazał zresztą na razie osadzić w więzieniu — M. H.)

Posiedzenia Biura Politycznego rozpoczynały się rankiem i kończyły zazwyczaj w porze obiadowej. Członkowie Biura szli na obiad, a ja zostawałem w sali posiedzeń, ażeby sformułować i zapisać decyzje podjęte w omawianych kwestiach. Uczyniwszy to, udawałem się do prywatnego mieszkania Stalina, aby wręczyć mu sporządzony protokół. Zwykle zastawałem go tam przy obiedzie. Za stołem siedział zazwyczaj on, je go żona Nadieżda i starszy syn Jaszka z pierwszego małżeństwa z Gruzinką Swanidze. Stalin przeglądał zapiski, zwracał mi je, po czym wracałem do KC kończyć protokoły.

Pierwszy raz, kiedy zastałem go przy obiedzie, chciał mnie poczęstować szklanką wina. Powiedziałem wówczas:

— Ja nie piję, towarzyszu Stalin.

— Szklankę wina chyba można? To dobre wino, kachetyńskie.

— Ja nigdy żadnego alkoholu nie piłem i nie piję.

— A za moje zdrowie?

Odmówiłem wypicia i za jego zdrowie. Więc cej nigdy nie próbował częstować mnie alkoholem.

(Z relacji, jakie znamy na temat używania przez Stalina alkoholu, wiemy, że najchętniej — jeśli nie wyłącznie — pijał wino i ewentualnie szampana. Mocnych trunków w zasadzie unikał. Jak pisze w swoich wspomnieniach szef wydziału operacyjnego Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej w czasie wojny, gen. Siemion Sztemienko, przygotowywano dla Stalina specjalne butelki z winem, które zamiast oryginalnych etykiet miały nalepione karteczki z maszynowym napisem określającym nazwę wina i okolicę, z której pochodzi. Były one przeznaczone osobliście dla dyktatora, zapewne nie tylko ze względów smakowych ale i bezpieczeństwa. Stalin, jak wspomina Chruszczow, wciąż węszył próby otrucia go.

Sam pijąc stosunkowo umiarkowanie, chętnie je dnak upijał innych. Robił sobie z tego czasami za bawę, jak np. upijając do utraty sił goszczącego u niego przywódcę węgierskich komunistów Matiasa Rakosi'ego. Jego współbiedniacy dla przypodobania się despotie nierzadko ochoczo uczestniczyli w tej grze. Jak wspomina jeden z czołowych przywódców jugosłowiańskich w okresie wojny i bezpośrednio po wojnie — Milovan Đilas, w swej książce „Rozmowy ze Stalinem”, gdy przybył na Kreml zimą 1944/45 zastał tam następującą scenę: członkowie kierownictwa radzieckiego zgromadzeni przy biesiadnym stole, zapytywani przez Stalina, zgadywać mieli, ile stopni mrozu jest na dworze. Następnie sprawdzano na zaokienionym termometrze, o ile stopni dany biesiadnik się pomylił, tyle też kieliszków musiał wypić. Đilas wspomina, że najgorliwszym w tej „zabawie” byłwał Beria, który starał się pomylić nie mniej niż o trzy stopnie, aby dostarczyć Stalinowi tym większej uciechy.

Nawiasem mówiąc, obyczaj popijania żywy był także w kierownictwie radzieckim w okresie breżniewowskim. Jak wspomina gen. Ludwik Swoboda, który jako prezydent Czechosłowacji przybył na Kreml w 1968 r. aby starać się o uwolnienie więzionych wówczas przywódców „praskiej wiosny” Dubczeka i Czerniaka, zastał kierownictwo radzieckie na czele z Breżniewem mocno podpite.

Wracając do obyczajów, to z wyjątkiem bankietów oficjalnych, które Stalin wydawał np. w Jaltcie dla Roosevelta i Churchilla, kiedy na stołach nie brakowało oczywiście jesiotra, kawioru, bażantów, cierni i innych specjałów przyrządzanych przez dawnych carskich kucharzy, na codzień podejmując najbliższych współpracowników w swej dachy, ofiarował im zazwyczaj bardzo prosty jadło spis. Składały się nań — jak relacjonuje np. marszałek Wasilewski — barszcz ukraiński, gotowane mięso, pieczone prosię itp. Garnki stały zwykle na oknie, każdy podchodził i nakładał sobie na talerz. Czasami podawała Matrona Pietrowna — starsza kobieta, która prowadziła Stalinowi dom. — M. H.)

(dokończenie w następnym numerze)

Przełożył i opracował:
MICHAŁ HOROWICZ

Kiedy w 1964 roku zakończył karierę sportową, wydawało się, że jego sukcesy łącznie z tytułem wicemistrza Polski w motocrossie, z czasem stają się tylko miłym wspomnieniem. A jednak Stanisław Lisowski po dwudziestu latach znów zakochał się w sporcie — choć w nieco innej dziedzinie — i ta druga miłość trwa do dziś...

BAZA W WYSOKIEJ

W Wysokiej koło Gorzowa firma Stanisława Lisowskiego od lat z powodzeniem zajmuje się naprawami i remontami „Mercedesów”, a obok kwitnie wielka pasja Szeffa (taki ma przydomek). Tam pasją są samochody terenowe.

Przed kilku laty zaczęła się — ta druga miłość dość skromnie i niewinnie, ale szybko została odwzajemniona wielkimi sukcesami. Żeby zrozumieć, skąd wzięła się, trzeba cofnąć się o sporo lat.

CZAR DWÓCH KOLEK

Tuż po wojnie, jako młody chłopak, Stanisław Lisowski wykorzystywał każdą okazję, by przejechać się motocyklem, czy samochodem. Nic więc dziwnego, że wkrótce związał się na dobre i zle ze sportem motorowym. Wiele jego kolegów wołało wyścigi na żużlu, ale Lisowskiemu wydawał się to sport dość monotony, w porównaniu z rajdami i wyścigami motocyklowymi w terenie. W 1950 r. rozpoczął przygodę zawodniczą udziałem w mistrzostwach okręgu poznańskiego w rajdach motocyklowych. W rok później został mistrzem okręgu w klasie motocykli z silnikami o pojemności powyżej 350 cm sześć. Wygrał wówczas trzy rajdy w pięknym stylu i do dziś ze wzruszeniem wspomina swą jazdę na pięknym motocyklu „Harley Davidson 750”. Z powodzeniem startował też w wyścigach ulicznych.

W 1954 r. startował w motocrossie i pozostał w nim na dłużej. Jeździł na „Jawie 250”, potem na polskim „Junaku 350” i węgierskiej „Panonii 250”. Bywało, że podczas jednych zawodów startował w dwóch różnych klasach. Umiejętności i kondycji nie brakowało. Ukoronowaniem był tytuł wicemistrza Polski w motocrossie w klasie 350 ccm na „Junaku”. Bardzo dobrze przygotował się Stanisław Lisowski do sezonu 1960 i uważany był za głównego kandydata do złotego medalu. Tak się jednak złożyło, że na blisko dwa lata wyjechał do Brazylii...

Po powrocie próbował jeszcze ścigać się na torach motocrossowych i szło mu coraz lepiej, ale kiedy w Gdańsku z winy rywala, który zjechał mu drogę, uległ na torze wypadkowi, postanowił zakończyć karierę sportowca — motocyklisty. Był rok 1964.

WILKA CIĄGNIE DO LASU

Choć przestał być zawodnikiem, od sportów motorowych Stanisław Lisowski nie odszedł. Nadal był aktywnym działaczem i sędzią.

Pewnego roku kupił niedrogo w jakimś PGR... wojskową amfibię z demobilu. Osobliwy pojazd, po solidnym remoncie, służył do przejażdżek na piknik, był też ozdobą różnych imprez, w tym zawodów żużlowych na stadionie Stali w Gorzowie, której niegdyś Stanisław Lisowski był zawodnikiem.

Myśl o sportowym wykorzystaniu amfibii zaczęła drażnić go, od kiedy wyczytał w którymś z czasopism o rajdzie samochodów terenowych. W 1983 r. obejrzał w telewizji migawkę ze zlotu „Jeepów” w Mrągowie przy okazji festiwalu muzyki country, a kamera pokazała również uczestniczące w imprezie amfibie. Szefem coś targnęło.

I znów pomógł przypadek. W warsztacie Lisowskiego w Wysokiej zjawił się klient, który zlecił zamontowanie w starym, amerykańskim łaziku „Willys” silnika „Mercedesa”. Okazało się, że chce go wykorzystać do rajdów

samochodów terenowych. Znał wszelkie szczegóły. Lisowskiemu taki człowiek spadł jak z nieba. Miał się odbyć niebawem taki rajd koło Poznania.

A ZACZEŁO SIĘ TAK...

Był rok 1984. Stanisław Lisowski wraz z pilotem Leonem Głowaczem pojechał swoją amfibią na pierwszy rajd. Chodziło tylko o zorientowanie się, co w tej sprawie piszczy. Nie przeszkodziło to gorzowskiej załodze zająć 22 miejsce wśród 56 wozów, których wówczas nie dzielono jeszcze na klasy. Tak się Lisowski do nowego sportu zapalił, że w trzy tygodnie potem wraz z Łolkim Głowaczem wystąpił jeszcze w rajdzie na zakończenie sezonu w Warszawie. Teraz już ta zabawa w samochody terenowe na sportowo chwyciła całkowicie.

Przed sezonem 1985 r. rodzący się zespół wzbogacił się o drugi samochód terenowy. Stanisław Lisowski kupił „Willysa” za 60 tysięcy i wstawił do niego silnik „Mercedesa” 280 o mocy 160 KM. „Willysem” w pierwszej imprezie nowego sezonu wystartowała załoga Stanisław Lisowski — Ł. Głowacz, a amfibią pojechał syn Szeffa — Henryk. Po dwóch z trzech odcinków rajdu gorzowianie deklamowali rywali i pewnie by zwyciężyli, ale na trzecim etapie awaria przekreśliła dorobek. Gorzowianie stali się, mimo to sensacją. Wszyscy pytali, skąd są i na czym jeź-

dzą, bo to, co pod maską silnika, starali się zachować w tajemnicy. Początek był więc bardzo obiecujący...

MARSZ DO GÓRY

Od tego czasu rozpoczął się marsz gorzowskich kierowców samochodów terenowych w górę wszelkich klasyfikacji mistrzowskich. Od początku występują w zawodach jako reprezentanci Automobilkłubu Gorzowskiego, któremu przysparzają coraz więcej laurów.

W sezonie 1986 tych sukcesów przybywało. Doszedł też trzeci samochód — radziecki „GAZ”, którym jeździł syn Henryk, a do amfibii powrócił niestrudzony Głowacz. Cała trójka liczyła się w stawce, a najlepszym z ekipy gorzowskiej był sam Szeff. Największym osiągnięciem w tym sezonie było zwycięstwo Gorzowa w raj-

dzie zakończenia sezonu w Warszawie drużynowe oraz indywidualne Stanisława w „Willysie”. Przybywali też do klubu nowi zawodnicy i na koniec sezonu było już 6 samochodów.

Kolejne lata to już miejsca w ścisłej czołówce krajowej. W 1986 r. ekipa AG dysponowała dwiema wozami. Były to: trzy „Willysy”, dwa „Mustel Aro”, „GAZ 69”, „GAZ 67” i amfibia „MAW”, od której wszystko się zaczęło. Kierowcy Automobilkłubu Gorzowskiego po raz pierwszy zdobyli drużynowe mistrzostwo Polski. Indywidualnie Stanisław Lisowski zajął drugie miejsce w klasie otwartej (w tym zwycięstwo w „polskim” Safari w okolicach Warszawy), Henryk Lisowski był trzeci w klasie open, a Roman Uchański zdobył brązowy medal w klasie wozów seryjnych („Mustel Aro”). Ponadto w krajowej czołówce uplasowali się w swoich klasach: Ł. Głowacz, Lech Jordan, Zbigniew Radomski, Marian Smiglak i Stefan Jarkowski.

Miejsca wśród najlepszych w kraju gorzowianie wywalczyli też w kolejnych trzech sezonach, z tym tylko, że w ubiegłym, 1989 roku, nie mógł startować Stanisław Lisowski. Wyeliminowały go poważne obrażenia, jakich doznał w wypadku drogowym. Obecnie już wszystko w porządku, pan Stanisław wytrwale ćwiczy zastąpienie i przygotowuje się do tegorocznego sezonu.

W GRONIE ELITY

Drużyna Automobilkłubu Gorzowskiego to uznana firma wśród ekip, uczestniczących w corocznych mistrzostwach Polski w rajdach samochodów terenowych. Sekcja skupia ponad 20 jeżdżących kierowców i posiada 20 wozów. Pozo kierowcami gorzowskimi do zespołu dołączyli trzej zawodnicy ze Szczecina. A ciekawostką stanowi fakt, że w tegorocznych MP barw Gorzowa bronić będzie także Lothar Koll z RFN, długoletni przyjaciel Stanisława Lisowskiego, przez lata sympatyk polskich żużlowców.

— Chcemy w tym roku odzyskać mistrzostwo Polski drużynowe, utracone w poprzednim sezonie na rzecz KM Rzemieślnik Warszawa. Zmieniono nieco regulamin mistrzostw, co warszawiacy w pełni wykorzystali. Cięższy mnie, że ta zabawa w rajdy terenowe ma coraz więcej zwolenników. Przybywa samochodów, przybywa też kibiców, bo imprezy te są niezwykle widowiskowe, o czym mogli się już przekonać widzowie w Gorzowie, Międzyzdrojach i okolicach. Oby ta zabawa trwała jak najdłużej.

Dodajmy, że pierwsze miejsce w MP utracone zostało i dlatego, że zabrakło za kierownicą „Willysa” kontuzjowanego Szeffa.

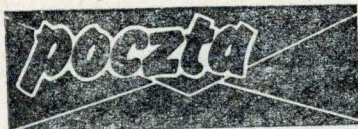
Drużynę gorzowską stanowią ludzie, dla których sport samochodowy w tak atrakcyjnym wydaniu stał się życiową pasją. Poświęcają mu nie tylko czas, ale i własne pieniądze. Do wszystkich dochodzą wytrwała praca, do której dopinguje szef, który młodzieńszkiem już przecież nie jest, ale umiejętności, wytrwałości i zapалу inogą mu pozazdrościć wszyscy.

Jednym z najlepszych w kraju w klasie samochodów seryjnych jest wspomniany już Roman Uchański:

— Trafiałem do sekcji dzięki Leszkowi Jordanowi. Miałem akurat samochód terenowy „Mustel Aro”, a on powiedział mi, że istnieje taka sekcja. Potem trafiłem do Stanisława Lisowskiego. Do znaczących wyników doszedłem głównie dzięki wielkiej pomocy Szeffa. Myślę, że jeszcze wiele przed nami, a plany uda się spełnić na rajdowych trasach.

Poza udziałem w rajdach krajowych, zawodnicy AG z powodzeniem występują też w imprezach za granicą. Byli np. rewalacją zawodów w RFN w ub.r. Mają zaproszenie na kolejne rajdy do Francji, Włoch, RFN. Chociaż zima (przynajmniej kalendarzowa) w pełni, już przygotowują się do startów. Duszą tego towarzystwa jest niezastąpiony Szeff — Stanisław Lisowski, o którym z powodzeniem można by napisać książkę. Zainteresowania jego są bardzo rozległe. Na przykład ostatnio, sobie tylko znanymi sposobami, zdobył oryginalne, unikatowe egzemplarze przedwojennych motocykli — „Harley’a Davidsona” i... polskiego „Sokoła”, rocznik 1937! Ale to już historia na osobne opowiadanie...

KRZYSZTOF HOLYŃSKI



Powiedziały jaskółki...

DROGA REDAKCJO

Piszę w sprawie, która mnie zbulwersowała, a sądzę, że także wiele osób korzystających z pośrednictwa prywatnego biura wizowego „Traper” w Zarach. Na zaproszenie znajomej z Danii chciałam wspólnie z mężem i synem spędzić tam okres świąteczno-noworoczny. W w/w biurze zgłosiłam się 26.10.89 z zapytaniem, czy mogę skorzystać z usługi. Odpowiedź otrzymałam pozytywną. Cena jednej wizy 25 tys. zł. W dniu 30.10.89 zgłosiłam się z paszportami i pieniędzmi. Wiza kosztowała już 58.500, co przyjął za należnym zrozumieniem, ponieważ do podwyżek co kilka dni zdążyłam się już przyzwyczaić. Nie było wszakże wniosków wizowych i polecono mi zgłosić się w dniu następnym. Rzeczywiście wniosek był, drukowane w języku angielskim. Chciałam je wypełnić na miejscu, ale pani nie potrafiła mi pomóc w ich wypełnieniu, ponieważ nie znała języka i nie wiedziała jak to się robi. Korzystając z porady pana znajdującego tenże język, wniosek wypełniłam i oddałam 2.11.89. Wizy miały być za 3 tyg., tj. od 23.11. do 25.11.89. Po ponad 3 tyg. dowiedziałam się, że wiz nie ma. Zgłosiłam się 1.12.89, wiz nie ma. Dlaczego? Dane personalne i inne informacje wypełnione były po polsku, a powinny być po angielsku, a więc np. nie uczeń, a school boy. Przyjmując wniosek, pani nie powiedziała mi o tym. Podejrzewam, że po prostu nie wiedziała. Co robić? Kurier wyjechał 4.12., a więc okres 3 tyg. wypadłby dokładnie w wigilię, kiedy ambasady nie urzędują. Czy mogę to przyspieszyć. Tak. Telexem. Za 10 dni miały być wizy. Tknięta przecuciem, zapytałam czy przejeżdżając przez RFN nie obowiązują mnie wizy tranzytowe. Oczywiście, że tak. O tym także nie poinformowano mnie za pierwszym razem. Otrzymałam ponownie druki do wypełnienia, tym razem i do RFN. Następnego dnia zaniósł. Wizy miały być 10.12.89. 12 grudnia dowiedziałam się, że kurier nie zjechał. Miał zjechać w dniu następnym. Zadzwoniłam. Nie zjechał. Polecono mi przyjść za 3 dni. Wiz nie było. 13 i 19 grudnia biuro nieczynne bez jakiegokolwiek informacji na drzwiach dlaczego. Na następna wizyta 20.12.89. Wiz nie ma. Polecono mi zgłosić się za 2 dni.

W dniu 22 grudnia oddano mi paszporty z zapytaniem, czy nadal chcę ubiegać się o wizy. Nie chciałam.

Całą kwotę, jaką wpłaciłam, zwrócono mi dnia 28.12.89.

Czuję się zawiedziona. Kto mi zapłaci za straty moralne, jakie poniosłam, za nerwy, ciągłe bieganie do biura, dowiadywanie się. Najbardziej oszukany poczuł się mój syn. To miał być wspaniały prezent pod choinkę. Święta „organizowałam” na dzień przed wigilią. Znajoma otrzymała telegram: Wiz nie ma. (15 tys.). Oczekiwała nas, przygotowana na przyjęcie gości, wzięła urlop, aby pokazać nam swój kraj. Nie wiem nawet, czy uwierzy w to, co napisałam.

Mam pytanie. Czy ludzie niefachowi mogą zakładać tego typu spółki (brak znajomości języków, niewiedza, jak się wypełnia wnioski, nieznajomość spraw związanych z tranzytem, niewiedza o odpłatności wiz przez młodzież do lat 16). Czy ludzie mający prywatne firmy mogą pracować, kiedy chcą i jak chcą (nieobecność pracowników w biurze bez jakiegokolwiek informacji dlaczego, bądź przychodzenie do biura kiedy im to odpowiada).

Czy można pozwolić takim osobnikom, by pobierali opłaty, manipulowali nimi przez niemal 2 miesiące, a potem okazuje się, że sprawa nie została załatwiona? Czy jest możliwe to, że złe wypełnione wnioski leżą w ambasadzie przez miesiąc, a potem odsyłane są jako niezałatwione? Takich oszukanych przez to biuro jest wielu. Stojąc pod zamkniętymi drzwiami dużo usłyszałam od stojących tam ludzi na temat pracy biura. Dużo mogą powiedzieć także pracownicy przyległych biur „Alfa”, „Westa”, „PTTK”. Dobrze słyszeli bowiem komentarze ludzi stojących na podwórzu.

Wydaje mi się, że sprawa powinna trafić do prokuratora. Nie można pozwalić na to, by osoby zarządzające na zaufaniu innych mogli prowadzić tego typu usługi. Proszę o wydrukowanie tego listu. Może znajdą się i inni, którzy zabiorą głos w tej sprawie.

Krystyna Kamińska
ul. Lubelska 35
63-200 Zary

W hotelowym hallu spotkałbym się na pewno z bratnią duszą, z kimś, kto mógłby przywrócić mi spokój. Kraj jest tak wielki, tak wielu w nim samotnych ludzi, tak wiele wspaniałomyślnych dusz gotowych dawać, jeśli tylko znalazłby kogoś właściwego. Byłbym szczery i otwarty. Powiedzmy, znaleźlibyśmy się w Mississippi, w jakimś starym, walącym się hotelu. Mężczyzna przychodzi do mnie na górę z ciemności, żeby zapytać, jak się czuję. Facet spragniony małej pogawędki. Przedstawiłbym go Marze. Przechadzalibyśmy się pod rękę, spacerując w świetle księżyca wśród drzew po wiązanych linami, wśród magnolii gniących w ściółce, w powietrzu wilgotnym, dusznym, sprawiającym, że gniją rzeczy — i ludzie też. Dla niego byłbym świeżą bryzą z Północy. Byłbym uczciwy, szczery, niemal pokorny. Wyłożyłbym karty na stół, natychmiast. Taką jest sytuacja, człowieku. Lubię to miejsce. Chcę tu spędzić całe życie. To go trochę wystraszy, ponieważ nie zaczyna się rozmowa z Południowcem w ten sposób — od razu. W co grasz? Potem odezwałbym się znowu, miękko i powściągliwie, jak klarnet z wilgotną gąbką wsadzoną w kielich. Zagrałbym mu melodyjkę z zimnej Północy, rodzaj

ani odrobiny smażonego mięsa. Jak to wspańiale po prostu oddychać naturalnie, nigdy nie spieszyć się, nigdy nie robić żadnych postępów, nigdy nie zajmować się niczym ważnym — prócz życia! Ona też tak myślała. Ona się zmieniła, Mara. Jej ciało stało się pełniejsze, cięższe, poruszała się powoli, mówiła spokojnie, milkła na długie chwile, wszystko w sposób realny i naturalny. Jeśli by zbłądziła na własną rękę z pewnością — sądziłem — wróciłaby niezmieniona, pachnąca słodziej, poruszająca się pewniej...

„Pojmujesz, Maro, jak to będzie?”

Tak właśnie siedziałem tam, opisując wszystko uczciwie, niemal szlochając w czystym zdumieniu kiedy usłyszałem Maude czapiącą człap-człap przez hall. Zgarnąłem kartki i złożyłem je, przyciskając pięścią. Czekalem na nią, żeby coś powiedzieć.

— Do kogo piszesz? — zapytała po prostu i pewnie.

— Do kogoś znajomego — odrzekłem spokojnie.

— Do kobiety, sądzę.

— Tak, do kobiety. Do dziewczyny, mówiąc ściślej. Powiedziałem to ciężko, uroczyście, jeszcze w transie, jeszcze widząc jej obraz pod wielkimi drzewami i dwa łabędzie pły

SEXUS (2)

HENRY MILLER

Przełożył:
Krzysztof Mrozwicz

chłodnego, fabrycznego gwizdka w mroźny ranek. Mister człowiek, nie lubię zimna. Nie, sir! Chcę robić coś uczciwego, coś z czego można się utrzymać przy życiu. Czy mogę mówić wprost? Nie będzie pan myślał, że jestem stuknięty, prawda? Na Północy ludzie są samotni. Tak sir, jesteśmy posiniiali z lęku i samotności. Mieszkamy w małych pokojach, jemy nożami i widelcami, nosimy zegarki, pigułki na wątrobę, okruszyny chleba, kielbaski. Nie wiemy, gdzie jesteśmy, my stamtąd, poważnie, człowieku. Boimy się śmiertelnie, że powiemy coś, coś realnego.

Nie spij... nie, naprawdę. Klep całą noc modlitwę o koniec świata. Nie wierzymy w nic: nienawidzimy każdego, trujemy się nawzajem. Wszystko ściśnięte, stałe, wszystko po nitowane okrutnym, gorącym żelazem. Niczego nie robimy własnoręcznie. Sprzedajemy. Kupujemy i sprzedajemy. Kupujemy i sprzedajemy, to wszystko mister...

Mogłem wyobrazić sobie starego dżentelmena wyraźnie, jak stoi pod obwisłymi gałęziami, jak ociera swe febryczne czoło. Nie uciekłyby ode mnie, jak inni. Nie pozwoliłbym mu. Zatrzymałbym go zaczarowanego — przez całą noc, gdybym miał na to ochotę. Skłoniłbym go, żeby dał nam chłodne skrzydło w wielkim domu w pobliżu bagnistego odgałęzienia rzeki. Czarnuch pojawiłby się z tacą podając miętówkę. Zostalibyśmy przyjęci. „To jest twój dom, synu, mieszkaj, jak długo chcesz”. Nie pragnę uciekać się do tricków z ludźmi jak ten facet. Nie, jeśli czło wiek potrafiłby mnie w taki sposób, byłbym mu wierny do gorzkiego końca...

Wszystko to było tak oczywiste, że czułem, iż muszę powiedzieć o tym natychmiast Marze. Poszedłem do kuchni i zacząłem pisać list. „Droga Maro — wszystkie nasze problemy zostały rozwiązane...” Ciągnąłem jak gdy by wszystko było jasne i określone. Mara wy glądała teraz dla mnie inaczej. Widziałem siebie stojącego pod wielkimi drzewami i mó wiącego do niej w sposób, który mnie zaskoczył. Spacerowaliśmy pod rękę poprzez waz rzywnik, rozmawiając jak istoty ludzkie. Świecił wielki, żółty księżyc i psy ujadły tuż przy naszych łydkach. Wydawało mi się, że jesteśmy małżeństwem i że łączy nas głębokie uczucie. Ona gorąco pragnęłaby pary i bę dła na jeziorze za domem. Ani słowa o pieniądzu, ani śladu światła neonowych,

wające bez celu po niezmaconym jeziorze.

Jeśli chcesz wiedzieć, myślałem sobie, powiem ci. Nie widzę powodu, żeby kłamać na dal. Nie nienawidzę cię, jak kiedyś. Chciał bym, żebyś kochała, tak jak ja — byłoby wte dy znacznie łatwiej. Nie chcę cię zranić. Chcę, żebyś mi pozwoliła być.

— Jesteś w niej zakochany. Nie umiesz od powiadać. Wiem, że tak jest.

— Tak, to prawda — rzeczywiście jestem zakochany. Znalazłem kogoś, kogo rzeczywiście kocham.

— Może będziesz traktować ją lepiej niż mnie.

— Mam nadzieję — powiedziałem ciągle spokojnie, ciągle mając nadzieję, że wysłucha mnie do końca. — Nie kochaliśmy się nigdy naprawdę. Maude, taka jest prawda, czy nie tak?

— Nigdy mnie nie szanowałaś, jako istoty ludzkiej — odparła. — Obrażasz mnie przed przyjaciółmi, łatasz za innymi kobietami, nie interesujesz się nawet własnym dzieckiem.

— Maude, chciałbym, żebyś choć raz nie mówiła w ten sposób. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali o tym bez goryczy.

— Ty możesz, ponieważ jesteś szczęśliwy. Znalazłeś sobie nową zabawkę.

— To nie tak, Maude. Słuchaj, załóżmy, że wszystko, co mówisz, jest prawdą, cóż to teraz zmienia? Przypuśćmy, że znajdowaliśmy się w łodzi, która zaczęła tonąć...

— Nie widzę powodu, dla którego miałbyś my coś przypuszczać. Ty zamierzasz zająć się kimś innym, a ja zostanę z całą harówką, z całym brzemieniem odpowiedzialności.

— Wiem — powiedziałem — patrząc na nią z prawdziwą czułością. — Chciałbym, żebyś starała się wybaczyć mi to, możesz? Co dobrego wyniknie z tego, że zostanę? Nie nauczyliśmy się nigdy kochać jedno drugiego. Czy nie możemy rozstać się w przyjaźni? Nie zamierzam pozostawiać cię własnemu losowi. Postaram się wypełnić moją część powinności — serio.

— Łatwo to powiedzieć. Zawsze obiecujesz rzeczy, których nie możesz zrobić. Zapomnisz o nas w chwili, kiedy wyjdiesz z tego domu. Ja ciebie znam. Nie mogę sobie pozwolić na wspaniałomyślność w stosunku do ciebie. Zawiodłam się na tobie gorzko, oszuki-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

waleś mnie od samego początku. Byłeś samo lubny, kompletnie egoistyczny. Nigdy nie sądziłam, że człowiek może być tak okrutny, tak nieczuły, tak zupełnie nieludzki. Dlatego z trudem poznaję cię teraz. Po raz pierwszy postępujesz tak...

— Maude, to okrutne co powiem, ale muszę to powiedzieć. Chcę, żebyś coś zrozumiała. Być może musiałem przez to przejść z tobą, żeby nauczyć się postępowania z kobietą. Nie jest to całkiem moja wina — los też ma coś z tym wspólnego. Widzisz, w momencie, kiedy na nią spojrzałem, wiedziałem...

— Gdzie ją spotkałeś? — spytała Maude, poddając się nagle kobiecej ciekawości.

— W tancbudzie. Jest fordanserką. Wiem, że to brzmi źle. Ale gdybyś ją zobaczyła...

— Nie chcę jej oglądać. Nie chcę o niej więcej słyszeć. Byłam po prostu ciekawa.

lałem wybelkotać. Jej szloch wzmógł się. — Wiem, powiedziałem coś niestosownego. Nic nie mogłem na to poradzić. Bez względu na to, co by zrobiła — nawet, gdyby miała zamiar skończyć ze sobą — nie zmieniłbym sytuacji.

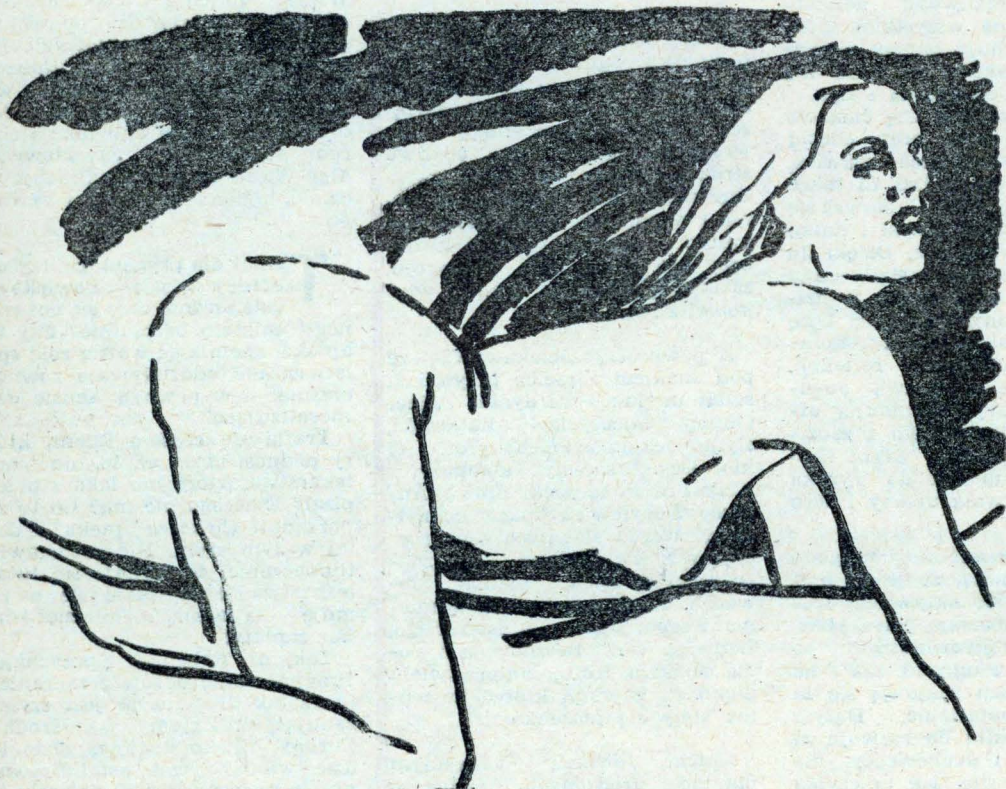
Spodziewałem się lez. A także spodziewałem się trochę tego dokładnie, że pogłaszczę ją, kiedy będzie płakać i że powiem coś niewłaściwego. Byłem u celu. Jeśli pogodzi się z tym i pójdzie do łóżka, będę mógł usiąść i dokończyć list. Mógłbym dodać post scriptum na temat przyżegania rany. Mógłbym powiedzieć uczciwie z mieszaniną radości i smutku — „Wszystko skończone”.

Oto co działo się w mym umyśle, kiedy gładziłem jej włosy. Nigdy nie byłem od niej dalej. Kiedy czułem drżenie jej ciała, odczuwałem również przyjemność na myśl o tym,

uszu, liżąc oczy, granicę jej włosów. Stała się miękka i ciężka zamykając oczy, wylaczając mózg. Zwisła, jak gdyby miała upaść na podłogę. Chwyciłem ją i zaniósłem przez hall po schodach i rzuciłem na łóżko. Padłem na nią jak gdyby oszołomiony i pozwoliłem jej zedrzeć z siebie ubranie, machając na wszystko ręką. Leżałem na wznak jak nieżywy, jedyne co żyło, to był mój prick. Poczułem zamykające się na nim usta oraz zsuwającą się z mojej lewej nogi skarpetkę. Moje palce przebiegły po jej długich włosach, zsunęły się pod biust i sprofilowały jej miękkie, kauczukowate jak gdyby brzuch. Wykonywała w ciemnościach coś w rodzaju ruchów kołowych. Jej nogi znalazły się na moich ramionach a jej krocze nad moimi ustami. Przesunąłem jej zad nad głową tak jak podnosi się skopek mleka żeby ugasić rozleniwiające pragnienie i piłem i żułem i zażerałem się jak myszółow. Była tak rozogniona, że jej zęby zakleszczały się groźnie wokół głowy mego ptaka. W tej szalonej, łzawej namiętności do prowadziła się do takiego stanu, że obawiałem się, iż może zatopić zęby głęboko, pozostawiając go końca. Musiałem ją polaskotać, że by rozluźniła szczęki. Poza tym była to szybka, czysta robota — bez płaczu, bez tych wszystkich interesów związanych z miłością, bez „obiecaj mi to czy tamto”. „Połóż mnie na pniaku do rżnięcia i rżnij”. — Oto, czego chciała. Zaczęłam z zimną furją. Być może był to ostatni fuck. Była już dla mnie kimś obcym. Dopuszczaliśmy się cudzołóstwa, namiętnego, kazirodczego, z rodzaju tych, o których z lubością rozprawia Biblia. Abraham wszedł w Sarę lub Leander i poznał ją. (Oso bliwa jest ta kursywa w angielskiej Biblii). Sposób, w jaki ci napaleni, starzy, patriarchowie zalatwiali swoje młode i stare żony, siostry, krówy i owce był bardzo pouczający. Musieli iść na całego, z całą przebiegłością i umiejętnościami wiekowych rozpustników. Czulem się jak Izaak cudzołożący z królicą w świątyni. Była białą królicą z długimi uszami. Miała w sobie pisanki i zniosłaby je jedną po drugiej do koszyka. Zamyśliłem się w niej głęboko, studiując każde załamanie, każdą zmarszczkę, każdą łzę, każdy miękkie, okrągły guz, który napuchł do rozmiarów pomarszczonej ostrygi. Przesunęła się, odpoczywała, czytając to jak Braille (punktem nowojorskim) swoimi wścibskimi palcami. Przykucnęła na czworakach jak samica, drząc i rżąc z nieukrywanej rozkoszy. Żadnego słowa w ludzkim języku, żadnego znaku, że zna jakikolwiek język prócz tego pniak-i-rżnij-mnie-jednotonowym-duchem — jak gwizd. Dżentelmen z Mississipi zupełnie zatarł się w paśmie, wśliznął się z powrotem w bagnistą otchłań, która tworzy trwały fundament kontynentu. Jeden labedź pozostał, z domieszką pół ćwierci krwi murzyńskiej z czerwonym kaczym dziobem przymocowanym do bladoniebieskiej głowy. Wkrótce zaczniemy żyć w dostatku, będziemy mogli się wyżyć, śliwki i morele będą spadać z nieba. Ostatnie pchnięcie, tłumiona eksplozja rozżarzonych do białłości popiołów i dwa kloce leżące obok siebie w oczekiwaniu siekiery. Doskonałe zakończenie. Wspaniały wpływ ławy. **Poznałem ją i ona poznała mnie.** Wiosna znowu nadejdzie i Lato i Zima. Ona będzie bujać się w ramionach kogoś innego, będzie rżnąć się na ślepo, rżąc, wyzywając się, kucając i opadając — ale nie ze mną. Ja już swój obowiązek spełniłem, ostatni obrządek został do konania. Zamknąłem oczy i udawałem martwego przed całym światem. Tak, nauczymy się nowego życia, Mara i ja. Muszę wstać wcześniej i schować list do kieszeni płaszcza. Dziwne, jak czasami kończy się sprawy. Za wsze ci się wydaje, że ostatnie słowo położysz w rejestrze z zamasztyrzym zakrętasem: nigdy nie myślisz o automacie, który zamyka konto, kiedy śpisz. Wszystko jest najdoskonalszym rodzajem podwójnej księgowości. Jest tak pięknie skalkulowane, że przyprawia cię o ciarki.

Siekiera spada. Ostatnie przemyślenia. Miodomiesięczny ekspres. Odjazd Memphis, Chattanooga, Nashville, Chickamauga. W tyle śnieżne pola bawełny... aligatory ziewające w błocie... ostatnia morela gnijąca na trawniku... pełnia księżyca, rów jest głęboki, ziemia jest czarna, czarna, czarna.

Za miasteczkiem „Zdanie” nr 7—8 z ub.r.



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Rzuciła na mnie krótkie, litościwe spojrzenie. I myślisz, że jest kobietą, która uczyni cię szczęśliwym?

— Nazywałeś ją kobietą, ale ona jest młodą dziewczyną.

— Tym gorzej. Oh, jaki ty jesteś głupi!

— Maude, to nie jest tak, jak myślisz, absolutnie. Nie powinnaś osądzać, naprawdę. Jak możesz udawać, że wiesz? A poza tym nie dbam o to. Już się zdecydowałem.

W tym momencie zwiesiła głowę. Była nieopisanie smutna i zmęczona, jak wrak czołwieka wiszący na rzeźniczym haku. Opuściłem wzrok niezdolny znieść widoku jej twarzy.

Siedzieliśmy tak kilka długich minut: żadne z nas nie śmiało podnieść oczu. Słyszałem pociąganie nosem i kiedy spojrzałem w jej stronę, ujrzałem twarz drgającą z bólu. Położyła ręce na stole, płacząc i szlochając oparła głowę twarzą o blat. Stałem nad nią i położyłem rękę na jej ramieniu. Próbowaliśmy coś powiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle. Nie wiedząc, co robić, gładziłem jej włosy, pieściłem je ze smutkiem, lecz tak że z dystansem, jak gdyby to była głowa dziwnego, rannego zwierzęcia, na które natknąłem się w ciemnościach.

— No, już, już, to się na nic nie zda — zdo-

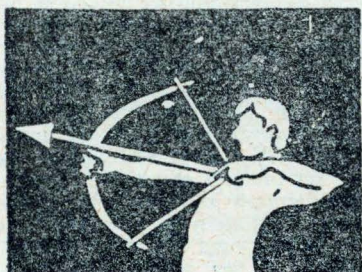
jak będzie pogodna w tydzień po moim odejściu. „Będziesz się czuła jak inna kobieta”, pomyślałem. A teraz idziesz przez całą tę udrękę — to jest prawidłowe i naturalne, rzecz jasna, i nie obwiniaj mnie o to, ale uporaj się z tym. Musiałem ją poruszyć puentując myśli, ponieważ w tym momencie nagle usiadła wyprostowana i patrząc na mnie dzikimi, pogrążonymi w beznadzieję, zalawionymi oczami zarzuciła mi ramiona na szyję i przyciągnęła mnie do siebie oszalalym, sentymentalnym gestem.

— Nie porzucisz mnie jeszcze, prawda? — zaszlochała całując mnie słonymi, głodnymi wargami. — Obejmij mnie, proszę, trzymaj mnie mocno. Boże, czuję się taka zagubiona.

Całowała mnie z pasją, jakiej nigdy wcześniej u niej nie czułem. Wkładała w to ciało i duszę i cały smutek, który był między nami. Wsunąłem ręce pod jej pachy i podniosłem ją delikatnie. Byliśmy tak blisko siebie, jak tylko mogą być kochankowie, kołysząc się tak, jak tylko ludzkie zwierzę może się kołysać, gdy całkowicie oddaje się drugiemu. Jej kimono rozsunęło się, była pod nim naga. Przesunąłem nieco dłoń wzdłuż jej pleców, pod pulchnymi pośladkami wbiłem palec głęboko w wielką szczelinę, przycisnąłem ją do siebie, żując jej wargi, gryząc płatki

Dzieci kosmosu

Po dwumiesięcznej przerwie wznowiliśmy przed tygodniem cykl „Dzieci kosmosu”, spełniając życzenia Czytelników wyrażane w listach i telefonach do redakcji. Dziś mają swój odcinek...



Panowie spod znaku Strzelca

Urodziłeś się w okresie między 23 listopada, a 21 grudnia, gdy na naszej części planety, ziemia, ochłodzona i pozostawiona przez człowieka w spokoju, odpoczywa, mając nad sobą — wysoko, na błękitnym Zodiaku — znak Strzelca. Strzelcowi sprzyja planeta zwana imieniem Jowisza — który w starożytnych wierzeniach greckich był ojcem wszystkich Bogów. Jest to największa spośród planet należących do naszego układu słonecznego. Po nadto Strzelec wraz z Lwem i Baranem, tworzą razem Trygon Ognia. Jakie znaczenie dla Ciebie mają te zbieżności?

Otóż z Zodiaku spłynęło na Ciebie mnóstwo łask. Otrzymałeś charakter silny, stały i sprawiedliwy. Podobnie, jak będący Twym znakiem Strzelec, mierzysz zawsze pewną ręką, cel widzisz jasno i nie lubisz schodzić z drogi, która do niego wiedzie. A Twoim celem są zawsze ideały! Wierysz w nie w sposób godny podziwu, czasem wprost z uporem. Potrafisz swych ideałów i swych przekonań bronić odważnie, nie bacząc na rodzaj i rozmiar przeszkód.

Twój idealizm podpierany jest wrodzoną prostolinijnością, otwartością, prawością. Jesteś tyłem mężczyzny, który wie, czego chce i na którym można polegać. Wśród ludzi szybko zdobywasz uznanie. Często jesteś jednym z tych, którzy, gdy zaczyna się mówić pośród gwaru, powodują, że gwar się ucisza. Ważysz sobie słowo i szanujesz słuchaczy. Ludzie spod znaku Strzelca często wybierają zawody i działania „publiczne”.

Trudno, by te Twoje przymioty, cechujące przywódców — nie powodowały zawiści. Toteż również łatwo, jak przyjaciel i zwolenników, skupiasz wokół siebie przeciwników i wrogów. Ci ostatni wykorzystują takie Twoje cechy, jak dobroduszość, szczerść i szczodrość. Właśnie w swej jowialnej dobroduszości pozwalasz czasem sobą manewrować. W efekcie zdarza się, że to, co robisz dla dobra innych, Twoi przeciwnicy zrzędną obracając przeciwko Tobie.

Bo też Strzelcy, przy całej swej sprawności i celności, są mało czujni. Nie przewidują przeczuć, są nieostrożni, skłonni do przesady, fanfaronady, wyolbrzymiania nadgorliwości, także — gadulstwa. Pewni siebie i szalenie zadowoleni z osiągnięć, wykazują brak umiaru. Bardzo lubią przewodzić, być chwalonymi, podziwianymi, oklaskiwani. Popadają przez to w kłopoty, ponieważ brakuje im, podobnie jak Lwom i Baranom, wrażliwości i delikatności, a przede wszystkim intuicji, jaka cechuje panów urodzonych pod znakami Trygonu Wodnego: Raka, Skorpiona i Ryb.

Jowisz oddarował Cię ciekawością świata i ludzi oraz chęcią zrozumienia wszystkich zjawisk, jakie nas otaczają. Dał Ci także ambicję, która każe Ci stawiać się lepszym, kształcić umysł i doskonalic się wewnętrznie. Dzięki Jowiszowi jesteś optymistą — a to bardzo pożyteczna cecha w dzisiejszych, trudnych czasach. Dzięki niemu także masz skłonność do filozoficznych refleksji.

Ale również za sprawą Jowisza cechuje Cię nadmierna ufność, granicząca czasem z zadziwiającą naiwnością, także snobizm, oraz tendencje do ryzyka i hazardu. Bywasz uparty i zarozumiały.

Z przynależności do Trygonu Ognistego wynika, że jesteś mężczyzną niezwykle aktywnym oraz myślącym i działającym szybko, dla którego najważniejszymi są sprawy serca i umysłu, zaś na dalszym miejscu znajdują się zagadnienia materialne. Dążysz przede wszystkim do rozwoju intelektualnego i duchowego, nie zabiegając na siłę, jak to czynią inni, o pieniądze i rozmaite korzyści.

Twoją wadą bywa m.in. skłonność do ulegania przesadnym emocjom i nagłym impulsom. Tracisz wtedy opanowanie i popełniasz błędy taktyczne.

W miłości panowie spod znaku Strzelca bywają wierni. Wykazują stałość uczuć i ich wysoką temperaturę, bez względu na wiek. Dla ukochanej kobiety zdolni są porzucić stanowiska, zaszczyty i dobra materialne.

Najlepszymi partnerkami są dla nich panie, urodzone pod znakami w Trygonie Powietrza (Bliźnięta, Waga, Wodnik) i w Trygonie Wodnym (Rak, Skorpion, Ryby). Związki powietrza z ogniem i wody z ogniem, choć wiążą się z wzajemnymi uzależnieniami, a przy braku harmonii mogą stwarzać sytuacje niebezpieczne, są nadzwyczaj pożyteczne. Rozważ to sam:

— ogień ogrzewa powietrze, dzięki czemu powstaje miła dla człowieka ciepłota, a przy dużym wzroście temperatury — powietrze zdolne jest wprawic się

w ruch. Z kolei powietrze jest niezbędne dla istnienia ognia;

— ogień w związku z wodą, wywołuje bardzo interesujące przeobrażenie: woda, która ociepla się, a potem wrze, skrapla się wreszcie, zamieniając w parę. Woda z kolei jest czynnikiem hamującym zbyt wielkie zapędy ognia: może go zmniejszyć lub całkowicie ugasić.

W duecie, ziołonym z dwójgą osób urodzonych pod znakami ognistym i wodnym, zawsze przewodzi partner „ognisty”, jako silniejszy i bardziej ekspansywny. Podobnie też dzieje się w duetach, utworzonych przez ludzi spod znaków Ognia i Powietrza.

Małżeństwo pana — Strzelca z panią, która przyszła na świat pod którymś ze znaków ziemskich (Koziorożec, Byk, Panna) też ma nienajgorsze szanse na szczęście, spokój i harmonijne współżycie.

Natomiast odradzam Ci zdecydowanie budowanie przyszłości z partnerką „ognistą” — jak Ty, to znaczy urodzoną pod znakiem Strzelca, Lwa lub Barana. Związek ognia z ogniem nigdy nie wróży pożytecznej dla obydwu stron symbiozy. W takim związku raczej nie będzie zrozumienia i wspólnych dążeń. Może być miłość — ale nie twórcza i dobra, lecz pełna burz, niepokoju, zazdrości, niezgody. Unikaj więc kobiet z „ogniem”.

Z pewnością zaciekawi Cię, że pod znakiem Strzelca przyszła na świat m.in.: kardynał Józef Glemp, Mieczysław Rakowski, słynny lekarz ortopeda prof. Wiktor Dega, sławny kompozytor Krzysztof Penderecki oraz Andrzej Kurylewicz, także kompozytor. Wśród sławnych osób niezwiązanych z znakiem Strzelca, planetą Jowisz i Trygonem Ognia, wymienić trzeba: Józefa Piłsudskiego, Ludwiga van Beethovena i poetę Jonasza Kofkę, autora wielu pięknych wierszy, które następnie stały się piosenkami.

Dniem Jowisza, pomyślnym dla ludzi urodzonych pod znakiem Strzelca, jest czwartek. Spróbuj w tym dniu załatwić sprawy trudne i ważne, a jeśli Ci się to z jakichś względów nie uda, zostaw je na poniedziałek. Wprawdzie jest to dzień Księżycy i jako taki sprzyja przede wszystkim znakom wodnym, czyli Rakowi, Skorpionowi i Rybom. Ale spotkałam się kiedyś z taką właśnie prognozą, że wszelkich pomyślności Strzelec może oczekiwać w poniedziałki.

Szczęśliwe cyfry: 2 i 5.

Do zakończenia cyklu pozostał nam tylko znak Koziorożca, który może zainteresować zarówno panie, jak i panów, urodzonych w okresie od 22 grudnia do 20 stycznia. Znak Koziorożca podobnie, jak Byk i Panna,

Wszyscy jesteśmy dziećmi kosmosu, my — mieszkańcy Ziemi, jednej z wielu planet, zawieszonych w niezbadanym, trudnym do objęcia myśli i rozumem, bezmiarze.

Apteka miłosierdzia

Ciąg dalszy ze str. 9

pracowała, wraz z mężem, pani Stanisława Szwejkowska. Także pani Teresa Gierko, lekarz psychiatra. Po śmierci dr Szwejkowskiego kierownictwo apteki przejął mgr Ciężyński — również czło-wiek nieodżałowanej pamięci. Od początku jest tu mgr Zub, panie magister — Kondek i Ruszczyńska. Pracują też mgr Jolanta Krukowska, mgr Maria Kowala — i jeszcze inne osoby.

Od przeniesienia na ulicę Sikorskiego, personel apteki — w myśl wymagań Wydziału Zdrowia, składa się wyłącznie z farmaceutów. Wszyscy pracują tu społecznie i do apteki przychodzą po ośmiu godzinach zajęć zawodowych. Parę osób, podobnie jak dr Rabenda, związanych jest etatowo z wojewódzkim „Sanepidem”. Mgr Andrzej Zub kieruje tam sekcją chorób pochodzenia zawodowego. Mgr Wiesława Kondek pracuje w dziale higieny żywienia i żywności.

Temat dla psychologa: czy do brze jest, gdy człowiekowi ustawicznie daje się coś cennego, całkiem bezpłatnie? Czy ta apteka, spełniając ważną rolę społeczną, nie oddziałuje równocześnie — w pewnym sensie demoralizująco?

Trafia się czasem klient, który podnosi głos: jak to, nie ma lekarstwa, które mu lekarz przepisał? Dlaczego nie ma? Co to za porządek? Co to za apteka? I dalej w tym stylu. Nie przemawia tłumaczenie, że wydaje się tutaj lekarstwa takie, jakie się otrzymuje — z łaski, z miłosierdzia, bez zapłaty!

Tak, dr Rabenda przyznaje. Przyjmowanie darów z zagranicy przez tak długi okres jest czymś zenującym. Żyjemy w środku Europy. Blisko krajów, gdzie ludzie wiodą żywot ustabilizowany, bezpieczny i nie potrzebują od nikogo żadnych darów. I stać ich na miłosierdzie!

Idealnie byłoby, gdybyśmy i my szybko stali się krajem zamożnym! Gdyby fabryki produkowały lekarstw tyle, ile potrzeba, a szpitale zaopatrzone były obficie w strzykawki igły, cewniki, kate-tetry, opatrunki, bandażę, rękawice chirurgiczne, aparaturę — i w ogóle wszystko. Gdyby dla przeciętnego człowieka, zarabiającego na życie pracą czy zyczącego z emerytury lub renty, zakup lekarstwa i leczenie, nie wiązały się z wydatkami nie do pokrycia. Wreszcie — gdybyśmy byli społeczeństwem zdrowym!

Ale rzeczywistość przedstawia się wprost odwrotnie. Coraz częściej spotyka się niedożywione dzieci. Coraz więcej ludzi choruje. Coraz więcej umiera. Przypomina się — gruźlica, anemia, coraz droższa jest żywność. Coraz chudsze portfele.

Niech więc tamci ludzie za graci, nie tracą swego miłosierdzia. I niech tej apteki z „salą alową” — bo tak pracownicy nazywają poczekalnię, dopisuje dobre zdrowie. Jest społeczeństwu potrzebne.

EWA FOSS

HALINA SKARBEK

16.I – WTOREK

PROGRAM I

- 8.35, 10.15 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Dzień dobry i do widzenia” – film TP
11.0 Hist., kl. I lic. – Polska w dziebie rozbitcia dzielnicowego
12.00 Spotkania z lit., kl. IV – I. Kruczkowski: „Niemcy”
13.30, 14.00 TTR – Prod. rośl. i zw., (3)
14.30 TKR – Rozród
15.00 Powt. przed mat. – Poezja krajowa XIX wieku
15.35 „Kim być?” – pr. 15-latków
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 Dla dzieci: „Tik – Tak”
16.50 Kino Tik – Taka: „O chłopcu, który chciał uczyć czarownicy” – film prod. NRD
17.30 „Spojrzenia” – Albania
17.55 „Klinika zdrowego człowieka”
18.15 „W stronę rynku”
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Przemyślenia kółka Da miana”
19.10 „Od A do Z” – pr. public.
20.15 „Dzień dobry i do widzenia” – film TP, reż. A. Domalik
21.10 Sport
21.20 „A jednak życie – Festiwal życia” (2)
22.25 Dt – Echa dnia
22.40 „Dwa brzegi” – film dok.
23.15 Język rosyjski (13)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (43)
17.30 „Klub ludzi z przeszłością”
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 „Ekspres reporterów”
19.30 Magazyn narciarski
20.00 „Non stop kolor” – mag.
21.00 „W kręgu sztuki” – w. f. dok.
21.45 Studio im. Karola Izzykowski go „Kartka z podróży” – film fab. prod. pol. reż. W. Dziłki
23.05 Komentarz dnia

17.I – ŚRODA

PROGRAM I

- 8.05 Przez lądy i morza
8.35, 10.25 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Koty to dranie” – film TP
11.10 Drogi do niepodległej
12.00 Spotkania z lit., kl. II lic. – Liryki Juliusza Słowackiego
12.50 Wśród ludzi – Gospodarka
13.30, 14.00 TTR – Prod. rośl. i zw. (1)
15.00 Muzyka, kl. I
15.30 NURT – Rozmowy o szkole
16.00 Program dnia – Telegazeta
16.05 „TV informator wydawniczy”
16.25 Dla mł. widzów: „Kameleon”
16.50 Dla dzieci: „Trąba”
17.30 Puchar Świata w skokach narciarskich – Zakopane
18.25 „Dawniej niż wczoraj”
19.00 Dobranoc „Wyprawa profesora Gąbki”
19.10 Ofert – „Pegaza”
20.05 Wojna i film: „Zakazane piosenki” – pol. film fab., reż. Leonard Buczkowski, wyk.: D. Szafliarska, J. Duszyński
22.00 Sport
22.10 „Sensacje XX wieku”
22.40 Dt – Echa dnia
22.55 „Plus – minus” – pr. public.
23.25 Język angielski (13)

PROGRAM II

- 16.55 Język farneuski (11)
17.30 „Śpiewanie w Kraju Basków”
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (2) – „Bilety do teatru” – serial prod. ang.
19.30 „Rotarianie w Warszawie”
20.00 Przegląd PKF
20.40 „Przegląd muzyczny” (2)
21.00 „Ze wszystkich stron” – „Miaso otwarte” – reportaż

- 22.00 „Przyjaciele” (3) – „Praca”
23.20 „Telewizja nocą”
0.05 Komentarz dnia

18.I – CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.10 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Policjanci z Miami” (12) – serial kryminalny prod. USA
11.10 Polska w latach międzywojennych
11.40, 16.10 MEN – informuje
12.00 Spotkania z lit., kl. V – Robinson Crusoe
12.50 Wśród ludzi
13.30 TTR – Mech. rol., - powt. (3)
14.00 TTR – Współczesne życie kulturalne (3)
14.30 TKR – Odchów cieląt
15.00 Rytmy ciała
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 „Kwant” oraz film z s. „Ordy”
17.30 „Milionerzy” – pr. public.
17.55 „Poza rok 2000” – australijski serial dokumentalny
18.25 Magazyn katolicki

PROGRAM II

- 17.30 „Wzrockowa lista przebojów”
18.00 Program lokalny
18.30 „O czym się mówi?”
18.50 Program rozrywkowy
19.30 „Dookoła świata” – „We wschodniej Afryce”
20.00 Magazyn „Piątek”
21.45 Filmy Woody Allena „Miłość i śmierć” – f. fab. prod. USA
23.05 Komentarz dnia

20.I – SOBOTA

PROGRAM I

- 9.00 „Drops” oraz f. „Jelonek” (11)
10.30 Dt – Wiadomości
10.40 „Perla północnych Chin”
11.40 „Diamantowe melodie”
12.10 „Z Polski rodem” – mag.
12.40 Telewizyjny koncert życzeń
13.10 „Szkoła mistrzów”

PROGRAM II

- 9.35 „Przegląd tygodnia” (dla niesłyszących)
9.55 „Dekalog, siedem” – film TP
10.50 „Pieśń ujdzie cała.” – pr. woj.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 „Jutro poniedziałek”
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino familijne: „Bajarz” (4) – serial prod. ang.
12.55 „100 pytań do...”
13.35 Maciej Niesiołowski – Z batutą i z humorem
13.50 „Polacy” – film dok.
14.55 Podróże w czasie i przestrzeni – „Biblia a historia” (1), s. ang.
15.50 „Być tutaj” – gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Biografie: „Marlon Brando – Dziki” – w. f. dok.
17.10 Studio Sport
17.30 „Bliżej świata” – TV - sat.
18.45 Prof. Ewa Łętowska
19.30 Galeria „Dwójki”
20.00 Studio Sport – Puchar Świata w narciarstwie alpejskim
21.00 Program rozrywkowy
21.45 „Wojna i pamięć” (21) – s. USA
22.45 Komentarz dnia
22.50 „Akademia wiersza”

22.I – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 13.30, 14.00 TTR – Chem. i biol.
14.30 TKR – Żywnienie krów mlecz.
15.00 Hist. – Wrzesień 1939 (powt.)
15.30 NURT – Sens życia
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 „Luz” – pr. nastolatów
17.30 „Gorące linie”
17.55 „Wędrowki dalekie i bliskie – Ziola Świętej Katarzyny” – egipski film dok.
18.30 „Jacy jesteśmy” – pr. public.
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Dinozaurek”
19.10 „W Sejmie i Senacie”
20.05 Teatr TV na Świecie, Edward Albee „Chwiejna równowaga” z Katharine Hepburn w roli gł.
22.20 Sport
22.30 Dt – Echa dnia
22.45 „Obok nas” – rep.
23.15 Język francuski (12)

PROGRAM II

- 16.55 Język angielski (14)
17.30 Antena „Dwójki”
17.45 „Ojczyzna – polszczyzna”
18.00 Program lokalny
18.30 „Zmagania o Polskę” (3) – „Inny świat – Żydzi polscy” – ang. serial dok.
19.30 „Roman Lasocki przedstawia”
20.00 „Auto – Moto – Fan – Klub”
20.30 „Osądźmy sami”
21.15 „Rozmowy o cierpieniu”
21.45 Program publicystyczny
22.20 „Heimat” – „W środku świata” – s. obycz. prod. RFN
23.50 Komentarz dnia

● Redakcja nie odpowiada za zmiany dokonane w ostatniej chwili przez TVP.

tydzień w TV

16 – 22 STYCZNIA 1990 R.

Codziennie: 17.15 – Teleexpress, 9.15, 19.30 – Wiadomości (pr. I); 21.30 – Panorama dnia (pr. II)

- 18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc „Dwa kosy i kurek z ratuszowej wieży”
19.10, 20.55 „Interpelacje”
20.05 „Policjanci z Miami” (12) – serial kryminalny prod. USA
21.35 Sport
21.45 „Pegaz”
22.20 Dt – Echa dnia
22.45 „Mragowo '89”
23.25 Język angielski (43)

PROGRAM II

- 16.55 Język rosyjski (13)
17.30 Skarby kultury polskiej – „Gniew” – film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone Kino: „Ptasi ogród w Minh Hai” – wietnamski film przyrodniczy
19.45 „Gdańskie spotkanie w miniaturze” – rep.
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 Perły z lamusa: „Wiatr” – film prod. USA
23.25 Komentarz dnia

19.I – PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.05 Przybysze z Matplanety
8.35, 10.30 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Carsey kadeci” (3) – serial prod. ZSRR
12.00, 12.50 Spotkania z lit., kl. II lic. – A. Mickiewicz: „Dziady”, cz. 3 i III lic. – S. Wyspiański: „Wesele”
13.30, 14.00 TTR – Fiz. i mech. rol., - powt.
15.10 „W szkole i w domu”
15.30 NURT – Edukacja pozaszkolna
16.20 Program dnia – Telegazeta
16.25 „Rambit” – teleturniej
16.50 „Okienko Pankracego”
17.30 „Raport”
17.55 „Ostatni powstaniec” – f. dok.
18.25 „Rzeczpospolita samorządna”
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc „Węgierskie bajeczki”

PROGRAM II

- 12.45 „Czas akademicki”
13.15 „Konkurs 5 milionów”
14.00 „Barierzy”
14.25 Co nowego w „Wiedzy i Życiu”
14.35 „Okavango – klejnot Kalahari” – „Żyjący klejnot” (1) – ang. film przyrodniczy
15.00 „Spektrum”
15.15 „Przygoda z Alaską” – film dok. prod. RFN
15.40 „Biała plama” – pol. f. dok.
16.05 „Meandry architektury”
16.25 Studio Sport – Puchar Świata w narciarstwie alpejskim
17.00 Program muzyczny
18.00 Program lokalny
18.30 „Wielka gra” – teleturniej
19.30 „Galeria 37 milionów”
20.00 „Klucz do nowej muzyki”
20.50 „Życie pod cełą – czyli zwierzenia grypsera”
21.45 „Znowu w Brideshead” (3) – serial prod. ang.
22.40 Komentarz dnia

21.I – NIEDZIELA

PROGRAM I

- 9.00 „Teleranek” oraz „Uciekaj Rebeke, uciekaj” (cz. 1) – f. ang.
10.30 Dt – Wiadomości

Tygodnik Społeczno-Kulturalny – Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. ADRES REDAKCJI: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa 40. Telefony: redaktor naczelny 708-35, z-ca red. naczelnego 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dający telefony wewnętrzne) Telex 0432558 REDAGUJE KOLEGIUM: Halina Ańska-Skarbek, Krzysztof Holyński, Janusz Koniusz (red. naczelnego), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.). Korekta: Beata Bartosiewicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 31. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-95. DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Ponadto sekretariat redakcji „Nadodrze”. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów tekstowych oraz zdjęć nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

PRENUMERATA: Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Zlecenie wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu i Wydawnictwa, 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto P.B.K. XIII Oddział Warszawa 370044-1195-139-11. Prenumerata jest droższa od prenumeraty krajowej o 100 procent.

Zam. 11 N-21

Wraz z Nowym Rokiem nastął czas pożegnań. Bez żalu przebiegały pożegnania tego, co przez lata dokuczało i irytowało, ale zbyt głośno nie można było o tym mówić. Przede wszystkim przyszedł czas pożegnać ze starym stylem myślenia. Również w sporcie. Gazety sportowe, a także kolumny sportowe w pozostających czasopiśmie, wypełnione są informacjami, które jeszcze niedawno były u nas nie do pomyślenia.

Najbardziej duże o sobie znająca sytuacja ekonomiczna. Na skraj bankructwa stoi (lub stanie) wiele potężnych do niedawna przedsiębiorstw przemysłowych, nie wspominając o instytucjach z tzw. sfery nieprodukcyjnej. Wszystko to potężnym rykoszetem odbija się i na sporcie. O ile jeszcze pod koniec ubiegłego roku opinie o zbliżaniu się ciężkich czasów dla sportu przy mowach były przez wielu niedowiarków za straszenie Babą Jągą, to już w pierwszych dniach stycznia złudzenia przysły. Padają pierwsze kluby. Rozwiązano zasłużony klub Czarni Szczecin. I-ligowe koszykarki zostały wycofane z rozgrywek. Podobny los spotkał bokserów Legii Warszawa. Zlikwidowano drużynę rugby Grunwald Ruda Śl., która jest wicemistrzem Polski. To — zdaje się — początek lawiny...

Cieszyć się nie ma z czego. W najbliższym czasie kultura fizyczna w naszym kraju, także w jej masowym, szerokim wydaniu, mocno podupadnie. Właściwie jedyny pożytek z tych przemian będzie taki, że od sportu, jak od wymienia wychudłej krowy, odpadną wszelkiej maści

karierowicze i kombinatory. Tylko, że oni odejdą (jeśli jeszcze nie odeszli, bo sporo hochsztaplerów w porę wycofało się z interesu) do innego żłobu, a na sportowej łączce pozostaną uczniwi, oddani sprawie działacze, szkoleniowcy i zawodnicy.

Twarde reguły gry ekonomicznej dosięgają potentatów, coż więc mówić o maluczkich. Przyjdzie im pewnie po kolei wyciągać nogi, bo ręk po dotacie wyciągać już nie można. Ostatnio „Gazeta Lubuska” zamieszcza na kolumnie sportowej wypowiedzi ludzi sportu, co do dalszych losów kultury fizycznej. Z głosów tych wyczytać można wielkie zastrzeżenia i obawy, że bez bolesnych cięć się nie obejdzie. Kontrastowała z tym wszystkim wypowiedź dyrektora wydziału sportu Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie — Michała Leśniaka. Takiego optymizmu można tylko pozazdrościć. Daj Boże zdrowia...

Zapewne najbardziej zapobiegliwi i pracowici uchronią działalność sportową przed kompletną ruiną. Wydaje się jednak, że wszystkiego uratować się nie da. W obecnej sytuacji ekonomicznej jest to po prostu niemożliwe. Najlepszą ilustracją tego jest świeżak zmotoryzowanych. Jeśli nawet kogoś stać na kupno dobrego samochodu, to okazuje się, że nie zawsze stać go na jeżdżenie własnym pojazdem! Od pierwszych dni stycznia ludzie masowo wyrejestrowują auta, bo horrendalnie wzrosły opłaty ubezpieczeniowe i ceny paliwa. W pierwszym tygodniu nowego roku — wg informacji z CPN — sprzedaż paliw spadła aż o 2/3 w porównaniu z grudniem ubr.!

Jeśli pomyślimy, że koszty transportu w działalności klubów sportowych są tylko jednym (choć bardzo znaczącym) z wydatków, to w zestawieniu z powyższymi informacjami, jasnym staje się, że nie każdego będzie stać na utrzymywanie wszystkich drużyn i uczestniczenie w coraz droższych rozgrywkach ligowych. Wszak do transportu dochodzą przecież jeszcze wydatki na wyżywienie, noclegi, opłaty sędziów, nie wspominając o wynagrodzeniach dla sportowców, szkoleniowców i pracowników klubów.

Pożegnania stają się w tych czasach zatem nieuniknione. Skoro trudności finansowe dotknęły nawet moźnych, tym bardziej niepewny jest los mniejszych firm. Wiele z nich ma swoich sympatyków i szkoda, że przestaną istnieć...

Smutne to sprawy, więc na koniec coś weselszego, a też dotyczącego pożegnań. Na 15 stycznia zaplanowano walkę prawdziwego dinazaura boksu, byłego mistrza świata zawodowców — Georga Foremana, który ma już 42 lata, z niewiele młodszym Geym Cooneyem (33 lata). Przed tą osobliwą walką amerykańskich bokserów wypowiedziano wiele kontrowersyjnych opinii, wszak pojedynek wzbudził mieszane uczucia. Ciekawie tę walkę określił menadżer Joe Hand: „To tak jak striptiz Elisabeth Taylor. Liza jest teraz stara i gruba. Ale wszyscy zapłaciliby jeszcze, żeby ją zobaczyć naga...”

KRZYSZTOF HOLYŃSKI

ZAWODNA PAMIĘĆ. Po „Malowanym ptaku” ukazała się w Polsce kolejna powieść Jerzego Kosińskiego pt. „Kroki”, także w dużej części oparta na autobiografii tego amerykańskiego pisarza polskiego pochodzenia. Na str. 60 narrator, porte-parole autora, powiada: „Kiedy byłem na studiach, na uniwersytecie odbywało się wiele obywatelskich zebrań urządzanych przez liczne studenckie organizacje polityczne”. „Autor studiował w Polsce w latach 1950—55, a wtedy jak wiadomo były tylko ZMP i ZSP. O NZS jeszcze nie myślano...”

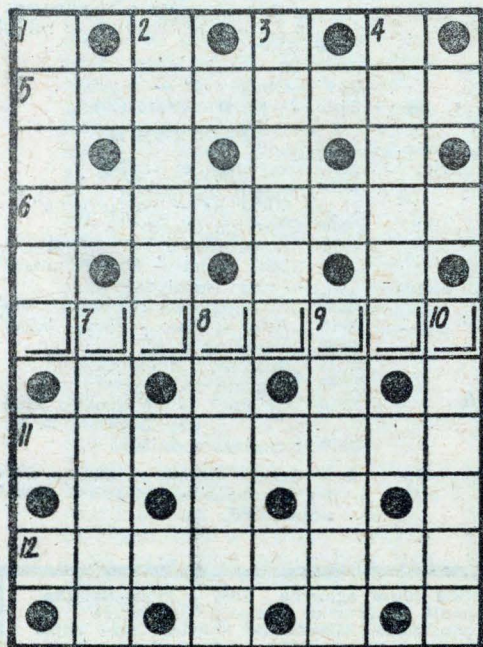
KARIEROWICZ. Pod takim tytułem „Tygodnik Bydgoski FAKTY” (nr 50-51 z ub.r.) publikuje rozmowę z aktorem Andrzejem Sewerynem, obecnie przebywającym w Paryżu. Bogdan Gadowski zwraca się do p. Seweryna: „— Na łamach francuskiego pisma „Le Matin” przeczytałem, że: „Nagrodę aktorską za rolę Adama w „Dyrzygencie” otrzymał Andrzej Seweryn, o którym można co najmniej powiedzieć, że jako aktor nie ma najmniejszych podstaw zawodowych”. Mocne, co pan na to?”. A oto odpowiedź: „— Jest to nieprawda, ale mylić się jest prawem krytyka”. Nie ma to jak dobre samopoczucie!

JESZCZE SIĘ NIE ZACZEŁO... „Przegląd Tygodniowy” (nr 1) publikuje interesującą informację: „Zielonogórski browar dysponuje wolnymi mocami przerobowymi. Zainteresowało to producentów i handlowców z Jugosławii, pragnących uruchomić w Polsce linie słodzonych napojów. Na zaproszenie gospodarzy przyjechało pięciu biznesmenów z grubym kapitałem. Okazało się jednak, że nikt nie zarezerwował im miejsca w hotelu, ani też nikt na nich w browarze nie czeka. Goście zmuszeni byli znaleźć i opłacić sobie nocleg sami, po czym wrócili do domu. No proszę: nawet nie ma mowy o rozpoczęciu produkcji słodko-miśnych napojów, a już się robi niedobrze”. Robi się smutno i gorzko.

FABU. Polscy pisarze emigracyjni, tak dziś szeroko popularyzowani, bezkrytycznie zresztą, podlegają ochronie. „Już się nawet uśmiechnąć na temat Barańczaka nie wolno — pisze Zbigniew Bienkowski w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 1). Kiedy „Zycie Literackie” w swoim dobrułowym „Zywociku” przytoczyło z ironią i oczywistą dezaprobatą paszkwilantkie odzywki o poecie z lat odległych, Antoni Pawlak rzucił się w „Gazecie Wyborczej” na „podłość”, budząc na szczęście krakowski tygodnik z okrzykiem śmiechu na sali. Czy bigoteria sama się opamięta?”. Nie. Potrzebny jest kubeł zimnej wody.

BARD. W tym samym nr-rze „Tygodnika Kulturalnego” Marek Karpiński omawia twórczość Jacka Kaczmarskiego, sygnalizując w podtytuł: „Rzeczywistość przemienia w poezję”. poczem konstatuje m.in.: „Jest bardem. Ma szczególny i rzadki dar zamieniania na poezję. Jak u Midasa wszystko zmieniało się w złoto, tak u Kaczmarskiego wszystko zmienia się w piosenkę. Obraz, męt, historia. W lirykę zamienia się też spotkanie z człowiekiem, zamienia się codziennosc”. Na kolana panowie!

Oprac. STANISŁAW PATYCKI



ROZRYWKI umysłowe

Litery w środkowym oznaczonym rzędzie utworzą ostateczne rozwiązanie.

Poziomo: 5. Młoda praca rzemieślnika 6. Chorągiew 7. Szeregowiec lub generał 12. W centymetrze

Pionowo: 1. Cytrynowa przyprawa. 2. Wulkanowa dziura. 3. Rarytas mięsny. 4. Amerykańskie państwo z kanałem. 7. List do kosza. 8. Duży port na Jangcy (Chiny). 9. Stolica walca. 10. Biblijny nędzarz.

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać pod adresem naszej redakcji do 29 stycznia br. Na kartce pocztowej należy nakleić zamieszczony niżej kupon. Do wylosowania będzie nagroda książkowa.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 28

Poziomo: bon, guzik, wigilia, skała, Sylwester, spawacz, trzęsawisko, taran, gramatyka. Pionowo: kozica, Bug, Nil, gips, kita, kawka, łuska, ryps, mecz, pięta, wiara, Chiny, grog, ikra, sam, wiat.

Nagrody książkowe wylosowali: **ARKADIUSZ PIELIŃSKI** z Nowej Soli, **ROMAN KRZESIŃSKI** ze Świebodzina oraz **JACEK LUBIENIECKI** z Zielonej Góry. Gratulujemy.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 29

Poziomo: przedłużenie, stan, reale, rakarż, winda, rane, Portos, ananas, czop, Lampe, krosno, susza, osie, rwetes, Alinka, trele, Robur, lapsus, Ańska, arak, politechnika.

Pionowo: portrecista, Ziarnkowski, drewka, Urania, atrapa, Iskyr, eta, ONZ, Arno, Oslo, Tomaszewski, Szeherazada, Ner, nos, kark. Ole, Noe, Warski, tabele, strach, Lear, Nisko, lak, PAP.

Nagrody książkowe wylosowali: **ZBIGNIEW DARACZ** z Gorzowa Wlkp., **STANISŁAW MACHOWSKI** z Lubania Śląskiego oraz **HANNA STRZELCZAK** z Rostarzewa. Gratulujemy.

Kupon nr 3